

Krzysztof Socha



Obrzycko

jakie poznałem

historia i ludzie

[Obszerne fragmenty książki]

Krzysztof Socha

Obrzycko jakie poznałem
,
historia i ludzie

Obrzycko 2023

© Copyright by Krzysztof Socha

Projekt okładki Krzysztof Socha

Fotografia na okładce; Panorama Obrzycka
[źródło Internet]

Rysunki Konstanty Kontowski

Książka ta jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępniać nieodpłatnie jedynie osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Moim wnuczkom

Gosi i Hani dedykuję

dziadek

Od autora

Ponad czterdzieści lat temu po raz pierwszy odwiedziłem (przypadkowo właściwie) miejscowość, której nazwy dokładnie wówczas nawet nie kojarzyłem. No może nie do końca tak było, ponieważ zapamiętałem jednak „głośny” most na Warcie, kiedy ledwie kilka razy wcześniej przejeżdżałem autobusem na trasie Poznań – Kołobrzeg, w drodze do mojego Darłowa. Pewnie jeszcze, gdzieś w zakamarkach pamięci kojarzył mi się także urokliwy, charakterystyczny rynek w jakimś małym miasteczku, chociaż jeszcze wówczas nie wiedziałem, że to była wioska Obrzycko.

Poznałem jednak nieco później dziewczynę stąd, a za jej sprawą polubiłem, by nie powiedzieć zbyt szybko, że nawet zachwyciłem się tą wioską, jako żywo przypominającą miasteczko. I już samo to skojarzenie było nader intrygujące.

Jak mówię, przez czterdzieści lat obserwowałem później bacznie jak Obrzycko się zmieniało, jak urosła jego ranga, by po raz trzeci zostać wyniesione do godności [wprawdzie jednego z najmniejszych w Polsce, ale jednak] miasteczka.

I nie wiedzieć kiedy „zewnątrzne” zauroczenie przeodziło się w poczucie, że „to jest także dla mnie ważne miejsce” na ziemi. Tutaj poznałem co najmniej wielu ciekawych ludzi, tutaj się „ukorzeniłem”, a do Obrzycka powracam już od dawna w jakimś sensie jak do siebie.

Od tamtego czasu napisałem i opublikowałem kilka książek, w tej liczbie popełniłem trzy

„czytadelfka” na temat mojego rodzinnego, nadmorskiego Darłowa. Jednak moja żona Ewa, czytając te wcześniejsze teksty zwróciła mi kiedyś uwagę, że jej rodzinna miejscowość także jest godna zauważenia i opisanie w formie publikacji zwartej.

Nie było to dla mnie odkrywczе, bo przecież o tym to wiedziałem od dawna, ale powodowany obawami związanymi z poczuciem jednak relatywnie niewielkiej wiedzy na temat historii tego Obrzycka oraz mieszkających tam ludzi, powstrzymywałem się od „sięgania po temat”, czy może raczej zmierzania się z nim „na poważnie”. Ale korciło mnie i to bardzo.

Przełamałem się więc wewnętrznie, a wobec podświadomej [choć nie ujawnionej wyraźnie i do końca] presji ze strony mojej żony, podjąłem temat i odważyłem się „coś” na temat Obrzycka napisać. W ten sposób, w tej subiektywnej mini-serii, zatytułowanej roboczo „moje miejsca na ziemi”, pojawiła się kolejna pozycja, *„Obrzycko jakie poznałem”*

Mając jednak świadomość, że temat jest zdecydowanie niszowy, bo nie dotyczy przecież wielkiej aglomeracji, uświęconej krwią bohaterów wielkich bitew, które zmieniły tak jak „Cud nad Wisłą” losy świata lub chociażby Europy, miałem wewnętrzne rozterki i dylematy czy ma to głębszy sens. Ale czy na pewno słusznie?

A ten niewielki, bo ledwie trzydziestoośmioosobowy pododdział obrzyckich Powstańców Wielkopolskich, walczących w 1919 roku na froncie północnym Powstania, a spoczywający w ozdobnej krypcie obrzyckiego kościoła arcybiskup książę

Ignacy Raczyński, swego czasu Prymas Polski, czy te perełki architektury barokowej,

No przecież to są nad wyraz godne opisanie, a innym razem tylko przypominania tematy.

Ponieważ interesują mnie (wprawdzie amatorsko, ale jednak!) historie takich małych, prowincjonalnych, starych miasteczek „zapomnianych niekiedy przez Boga i ludzi” oraz procesy społeczne i gospodarcze tam zachodzące, było mi jakoś łatwiej do tematu Obrzycka się „zbliżyć”.

Oczywiście nie silę się (uchowaj Boże!) aspirować do bycia ekspertem w tej mierze, a nawet wręcz przeciwnie. Odważyłem się bowiem co najwyżej zainspirować ewentualnego czytelnika tego – jak mówię „czytadelfka” - do przywoływania w dowolnym czasie i sytuacji swoich, jakże często prywatnych historii rodzinnych związanych bezpośrednio lub pośrednio z Obrzyckiem oraz mieszkającymi tutaj ludźmi.

Dopiero kiedy na poważnie przystąpiłem do poszukiwania informacji na temat tego miasteczka oraz swego rodzaju zgłębiania mojej o nim wiedzy, dostrzegłem relatywny deficyt w obszarze materiałów pisanych i publikacji książkowych.

Szczególnie brakowało mi tekstów adresowanych do najmłodszego czytelnika, który potrzebuje lekkości pióra i języka, tak trochę gawędziarskiego, a mniej quasi-naukowego. To trochę mnie ośmieliło do opisanie moich doświadczeń związanych z rodzinnym miasteczkiem mojej Ewy, z którym ja także czuję się od ponad czterdziestu lat jakoś związany, a nawet nim w szczególny sposób zauroczony.

W możliwie przystępny sposób opisałem więc początki grodu kasztelańskiego, na dzisiaj jakby spłaszczającym się już wyniesieniu „Łysej Góry” w rozwidleniu rzek Warty i Samy.

Przywołałem także rolę jaką pełnili swego czasu w Obrzycku joannici, poszerzając przy tym być może wiedzę czytelnika o „służbowym” ubiorze tych rycerzy, zasadach jakimi się kierowali oraz o obowiązującej Zakon Szpitalny Świętego Jana Jerozolimskiego regule zakonnej, przez pewien czas nominalnych właścicieli grodu Obrzycko.

Najbardziej jednak pochłonęła mnie historia miasta w ujęciu zmian własnościowych, rozwoju gospodarczego oraz przemian administracyjnych. Miasto bowiem trzykrotnie wynoszone było do godności miasta, a zatem w konsekwencji także dwukrotnie owe prawa utraciło.

Zastanawiam się więc na łamach tej książki, co w tym miasteczku w pewnych momentach się zadziało, że jego losy tak właśnie się potoczyły? Usiłuję przystępnie wytłumaczyć, od czego i od kogo zależały wzloty i upadki małego Obrzycka na przestrzeni dziejów. Miałem bowiem świadomość, iż historię miasteczka – jakkolwiek to trywialnie brzmi – tworzyli jego mieszkańcy. Budowali domy, wznosili i wznoszą ważne dla potomnych, a przede wszystkim dla siebie budowle tzw. użyteczności publicznej. Ponad wszystko jednak budowali i budują relacje wewnętrzne, a dalej – społeczność lokalną, osadzoną w specyficznej infrastrukturze i wypracowanych nad wyraz często „własnoręcznie” realiach.

Wreszcie zainteresowały mnie tytuły własności do miasta możnych rodów m.in. Raczyńskich, ich wpływ na poziom rozwoju oraz kształtowania się struktury wyznaniowej ludności w miasteczku, będącym swego czasu częścią ich ordynacji.

W tym miejscu wkroczyłem także w kwestie architektury Obrzycka oraz klęsk żywiołowych, mających na nią dominujący wpływ.

Z największą atencją jednak poruszyłem ledwie temat Powstańców Wielkopolskich w wymiarze lokalnym, Ziemi Obrzyckiej. Powstanie to jest bowiem zbyt obszernym tematem i nadal nad wyraz chwalebny dla mieszkańców miasteczka, a przy tym współczesnym zarazem, by można było o nim napisać tak mało i tak jednocześnie wyczerpująco. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ledwie więc tylko „liznąłem” ów temat.

Powstrzymałem się i ograniczyłem tylko co najwyżej do zainspirowania współczesnych Obrzyczan do subiektywnych rozważań nad udziałem ich pradziadków (rzadziej jeszcze dziadków) w tym tak ważnym dla ich teraźniejszości wydarzeniu, czy może raczej akcie historycznym.

Opisałem także – w oparciu o wspomnienia z domu rodzinnego mojej żony – wydarzenia z grudnia 1939 roku, kiedy to wysiedlono z Obrzycka oraz m.in. Ziemi Szamotulskiej wiele rodzin, wysyłając je, z przystankiem w więzieniu we Wronkach, transportem bydłęcymi wagonami do podkieleckiego Jędrzejowa, do obozów pracy i gospodarstw rolnych

rozsianych po obszarze całej ówczesnej III-ciej Rzeszy, a część do faszystowskich obozów śmierci.

Nieśmiało proponowaną publikację utrzymałem po części w konwencji spaceru po miasteczku kogoś, kto mimo wszystko jest jednak „z zewnątrz” i dopiero miasteczko poznaje, a w konsekwencji zaczyna zachwycać się Obrzyckiem.

W każdym nieomal miejscu i z każdego rogu ulicy wyłaniają się jednak podświadomie w książce czyjeś lub o kimś wspomnienia. Są one – w mojej ocenie - za każdym razem bardzo ważne, a nawet poznawcze.

W jednej ze swoich poprzednich książek napisałem, że warto je dokumentować i – oczywiście tylko te pozytywne – przechowywać dla potomnych, bowiem (to nie tylko truizm!) historię tworzą ludzie.

A zatem – jakkolwiek to patetycznie zabrzmie – kto nie ma (lub nie poznał) przeszłości swojego miasta oraz regionu, swojej rodziny i rodziny przyjaciół, ten nie potrafi prawdopodobnie zbudować godnej przyszłości dla swoich bliskich.

W tak niewielkim bowiem stopniu to, co robimy, czym jesteśmy, jak myślimy, nawet jakimi słowami myślimy, jakich pojęć używamy, żeby siebie zrozumieć, wreszcie jakie idee dzielimy, jest wyłącznie naszym projektem.

Zatem winniśmy czuć wdzięczność, że przed nami – m.in. w Obrzycku – żyło kilka pokoleń naszych przodków, zbudowano (dosłownie i w przenośni) warunki dla nas i naszego istnienia.

Skoro więc ludzie tak szybko odchodzą, (powtórzę raz jeszcze) należy wspomnienia o nich gromadzić, utrzymywać i pielęgnować. Winien to być proces zbiorowy i permanentny.

To pewnie dlatego opisując historię miasta oraz jego najbardziej interesujących miejsc, które dzisiaj jeszcze można zobaczyć, wczuwając się w ich historyczny przekaz, sięgałem do wspomnień rodzinnych oraz o rodzinie mojej żony Ewy, rodowitej Obrzyckanki. Nie jest to podyktowane by najmniej chęcią gloryfikowania tych ludzi z powodów osobistych, lecz potraktowałem tę kwestię jedynie jako wzorzec do analizy procesów zachodzących w obrębie jednego, małego miasteczka.

Wszak w każdej pewnie rodzinie (mówię o własnej rodzinie ewentualnego czytającego w Obrzycku) mój korespondencyjny adwersarz odnajdzie osoby, które odegrały ważną rolę (na którymś etapie historii lub współcześnie) w procesie tworzenia oblicza oraz pozycji Obrzycka lub okolicznej miejscowości.

Zapraszam więc do przeczytania tego czytadła, do sentymentalnej wycieczki po poznawanym przeze mnie miasteczku, a następnie do snucia babcinych lub dziadkowych opowieści o tym jak to drzewiej w Obrzycku bywało, jak bawili się i pracowali dziadkowie oraz pradiadkowie, by miasteczko było takie piękne jakie możemy oglądać i w nim żyć.

Tak to się u mnie zaczęło

Była to ciemna, zimna, a co gorsza deszczowa noc marcowa, blisko pół wieku temu. Ot, taka wydawać by się mogło, zwykła pora na kilkudniowe ćwiczenia taktyczne podchorążych z – nieistniejącej już na mocy zmian wprowadzanych po transformacji ustrojowej w latach dziewięćdziesiątych w Polsce - poznańskiej Akademii Sztuk Żelaznych. Tak żartobliwie sami nazywaliśmy naszą ówczesną WSO WPanc. na Gołęczynie.

Starzy Poznaniacy byli dla nas jednak mniej łaskawi, bo dało się niekiedy słyszeć pod adresem naszej Alma Mater oraz studiujących tam podchorążych, określenia bardziej pejoratywne, typu „SS Gołęczin”. Jednak było to raczej zrozumiałe pokłosie czerwca 1956 roku, więc nie robiło na nas większego wrażenia, jako że personalnie nie kojarzyliśmy sobie z tamtym czasem oraz tamtymi wydarzeniami. Nie o tych inwektywach chcę jednak opowiedzieć.

Mając wcześniejsze doświadczenie w łączności (a precyzyjne; w zakresie radionaprowadzania samolotów na lotnisku Marynarki Wojennej) zostałem wyznaczony na czas owych ćwiczeń dowódcą wozu technicznego, mającego pięciokrotnie rozstawić i w pięciu różnych miejscach uruchomić bazę łączności dla ćwiczących pododdziałów.

To była nasza druga „lokacja” w drodze na poligon Drawsko (w rejon Bucierz – Ziemsko, ale to tylko tak, żeby być precyzyjnym). Ulokowaliśmy się więc we wskazanej przez przełożonych miejsco-

wości (której nazwa prawdę mówiąc nic mi wcześniej nie mówiła), ale dokładne miejsce lokacji naszego wozu łączności oraz rozwinięcia stanowiska (jako dowódca) to już ja precyzyjnie wyznaczyłem na swoją wyłączną odpowiedzialność.



Budynek ratusza w Obrzycku od strony dawnej kawiarni (w głębi po prawej dom cioci Kazimierzy Król) w rysunku Konstantego Kontowskiego

Po krótkim rozpoznaniu – jak wspomniałem – nieznanego mi wcześniej terenu, wybrałem plac targowo-parkingowy przy miejscowym, zabytkowym (co od razu rzuciło mi się w oczy) ratuszu, od strony nieistniejącej już dzisiaj kawiarni i hotelu. Współczesnym ta pierzeja obrzyckiego rynku bardziej się pewnie kojarzy dzisiaj z tutejszą „Chatą Polską” niż z hotelem czy kawiarnią.

Dostrzegłem, że od tej zachodniej strony posiada on ryzalitowo wysuniętą czworoboczną, pięciokondygnacyjną wieżę, zwieńczoną urokliwie drewnianą wieżyczką z czterosпадowym blaszanym daszkiem.

Tej nocy nie mieliśmy czasu ani sposobności by podziwiać widoki czy zwiedzać tę miejscowość, ale moją uwagę zwrócił jednak ów gotycki zabytkowy budynek z przełomu (tak na oko wg moich wtedy domysłów) XVII-tego oraz XVIII-tego wieku, posadowiony na środku wybrukowanego w stylu „kocie łby” z granitowych i bazaltowych otoczków placu, bo taki bruk jako żywo przypominał wystające nierówno z ziemi liczne, różnej wielkości głowy kotów. Tyle tylko mogłem zobaczyć i to jeszcze mało dokładnie, bo – jak zauważyłem - była noc i deszcz, z marznącą mżawką na przemian.

W tamtym momencie nie dostrzegłem także niskiego domu w samym narożniku placu, czy może raczej miejskiego rynku, z którym za jakiś czas z własnej - a co ważniejsze, nieprzymuszonej – inicjatywy będę związany jakoś i to niebawem na długie, kolejne lata, by nie powiedzieć na resztę swojego życia. Tam bowiem - w domu przy Rynek 13a – spokojnie już spała, a pewnie wcześniej jak zwykle większą część nocy (bo jak się później przekonałem organoleptycznie, zawsze długo siedziała po nocach i nadal jej tak pozostało) myślała o zbliżającej się swojej maturze w obornickim liceum, taka jedna Ewa Joanna.

No, ale skąd ja mogłem wiedzieć wówczas, gdzie mam dokładniej patrzeć tamtej nocy? Ostatecznie budynek ratusza, a tuż obok kiosk

„Ruchu” osobnika zwanego potocznie „Obiadkiem” (ale tego to dowiedziałem się dużo później) ten domek mi zasłaniał, więc na tę okoliczność mam jakieś alibi.

A i jeszcze jedno, w pobliżu kiosku, prawie w samym rogu rynku umiejscowiona była przeurocza, a przy tym w pełni sprawna uliczna pompa wody artezyjskiej, która stanowiła zaplecze wody pitnej oraz do celów gospodarczych dla mieszkańców okolicznych domów w procesie zaopatrywania się w ten życiodajny płyn.

Jak to działało, ile wiader wody trzeba było przynieść od pompy do domu, by zrobić pranie lub się wykąpać, dowiedziałem się jednak dopiero (dokładnie prawie co do dnia) po dwóch latach.

Ale tymczasem nie będę wyprzedzał faktów.

Około szóstej rano, przemarznięci i mokrzy, jeszcze pod osłoną nocy „zwinęliśmy majdan” i udaliśmy się w dalszą drogę. To był najwyższy już czas, bo już ludzie rozpoczęli poranną wędrówkę do pracy więc nie powinniśmy byli robić dodatkowego zamieszania swoją obecnością w tym miejscu.

Nawet – jak się dużo później okazało – mój przyszły teść Leonard Schmidt pojechał już autobusem do pracy w „meblach” we Wronkach.

Tak oto zakończyła się moja pierwsza, relatywnie krótka wizyta w nieznanym mi wówczas jeszcze „z bliska” Obrzycku.

Dopiero kiedy przejeżdżaliśmy naszym pojazdem (jadąc w kierunku Piotrowa) przez klekoczący most drewniany na Warcie uzmysłowiłem sobie, że ilekroć (bodaj raptem ledwie pięć razy!) jechałem w

rodzinne strony autobusem z Poznania przez Czarnków i Wałcz, ten głośny zabytek „techniki wojsk inżynieryjnych” przecież każdorazowo z fasonem oraz drżeniem serca pokonywaliśmy, nie wiedząc czy tym razem się pod nami i ciężkim autokarem ów most nie zawali.

Zapamiętałem to, bo zawsze ten klekot luźnych, drewnianych belek mnie wyrywał z błogiego już wówczas snu pasażera. Wszak do tej pory mam tendencję do snu w autobusie w czasie dłuższej nim podróży.

Po jakimś czasie, w trakcie koleżeńskiegospotkania w „Zbyszku” (to taki akademik przy ul. Obornickiej w Poznaniu) dowiedziałem się, że taka jedna sympatyczna Mirka, którą wcześniej znałem „o tyle o ile”, pochodzi właśnie z tego Obrzycka.

Tym razem byłem już w stanie błysnąć przed koleżanką minimalną wiedzą na temat ratusza (i z przyczyn technicznych tylko tyle na ten temat) w jej wiosce. Dyskusja potoczyła się po chwili w kilku różnych kierunkach, więc moja na tamten czas niewielka (by nie powiedzieć; szczątkowa) wiedza o jej miejscowości szczęśliwie nie została obnażona.

Poznałem fajną dziewczynę

Po kilku miesiącach, w innym akademiku na Ratajach, poznałem inną współmieszkanke mojej „ziomali” z Darłowa. Obie miały [bardzo ładnie, jak na mój gust] na imię Ewa i pewnie w pierwszej chwili dlatego właśnie zwróciłem na to uwagę.

Owo dziewczę było nieprzyzwoicie młode (w wieku mojego o cztery lata młodszego brata, chociaż jednak o jeden dzień od niego starsza). Po prostu taka smarkula, jak wtedy wszyscy dla mnie z tego rocznika.

Nasze bliższe, wzajemne kontakty „zagaściły się” kiedy Ewa była już poważną studentką drugiego roku fizyki na poznańskim UAM. Nadal w tamtym czasie obie z moją koleżanką o tym samym imieniu, z mojego rodzinnego miasta, mieszkały w jednym pokoju w akademiku, tym razem już na poznańskich Winogradach.

No właśnie, bo tego nie dodałem, Ewa była rodem z Obrzycka. Nie wiedzieć dla-czego (a może było to bardziej niż oczywiste?) wraz ze wzrostem moją fascynacją nią, wzrastało we mnie także zainteresowanie jej rodzinną miejscowością bardziej niż innymi podpoznańskimi miasteczkami, które przecież także z różnych powodów i pod różnymi pretekstami w tamtym czasie odwiedziłem.

Od teorii przeszedłem do praktyki już po kilku miesiącach, w czasie drugiej, tym razem zamierzonej i wręcz wymuszonej na Ewie, dwudniowej (wee-kendowej) wizyty w tej miejscowości, jako żywo przypominającej małe miasteczko.

Wprawdzie nie zrobiło ono na pierwszy rzut oka na mnie wrażenia jakoś porywająco atrakcyjnej turystycznie miejsciny, to jednak moja dziewczyna ujawniała, że tę wioskę kocha i to jest naprawdę jej miejsce na ziemi.

Do czasu jednak - pomyślałem naiwnie w tamtej chwili, bo miałem już wtedy skonkretyzowane plany wobec mojej Ewy (no i oczywiście wobec siebie). Ale o tym za chwilę.



Panorama Obrzycka w rysunku Konstantego Kontowskiego

Miasteczko to czy tylko wioska?

Czyli jak to drzewiej z tym Obrzyckiem bywało

Dopiero więc przy nieco bliższym poznaniu tej urokliwej, miejskiej wioski zrozumiałem nieco więcej z tego co widziałem, a nawet Obrzycko mnie relatywnie szybko wielce zaintrygowało.

Okazało się bowiem, że przeczucie mnie jednak nie zawiodło w kwestii walorów historycznych miejscowości. Dowiedziałem się - że tak powiem z „wykopalsk” i dostępnej (choć nad wyraz skromnej) literatury na temat dziejów Obrzycka - że pierwsze udokumentowane wzmianki o istnieniu w tym miejscu grodu kasztelańskiego u ujścia rzeki Samy, pochodzą już z 1238 roku (choć pierwsza - tyle, że „niepewna” - wzmianka o miejscowości datowana jest jeszcze wcześniej, bo na 1100 rok).

Jest to - z kilku względów - bliski mi okres, wszak początki mojego rodzinnego miasta nad morzem przypadają na ten sam, XIII-sty wiek.

Pierwszymi (czy może raczej jednymi z pierwszych, bo tak będzie właściwiej) włodarzami tego terenu w jakimś sensie byli joannici, z zakonu Szpitalników. To jest drugi przyczynek, bym chciał zainteresować się tematem, gdyż joannici także w moim Darłowie odcisnęli trwałe piętno.

Joannici – zakon aktywny również w Obrzycku

A kim byli i są owi joannici, czy może raczej Zakon Szpitalny Świętego Jana Jerozolimskiego? Postaram się w kilku zdaniach ich historię przybliżyć, bo zaręczam – m.in. w kontekście Obrzycka - naprawdę warto.

Zakon ów został bowiem uformowany w pierwszej fazie swego istnienia przez kilku zaledwie rycerzy, którzy pozostali w Jerozolimie po zdobyciu miasta¹. Mieli za zadanie – podobnie jak ich w jakimś sensie poprzednicy, templariusze - chronić pielgrzymów i strzec dróg prowadzących do Jerozolimy przed rabusiami czyhającymi na zasobne bagaże pielgrzymów.

Przyjęli oni z czasem – wzorując się właśnie na templariuszach, mając na względzie cechy wspólne – także nazwę zwyczajową „Ubogich Rycerzy Chrystusa”. Wyróżniał ich jedynie (co jest kolejnym potwierdzeniem kontynuacji wielu reguł zakonnych templariuszy) biały charakterystyczny krzyż na piersiach oraz na czerwonych płaszczach, zakładanych do boju na rycerską zbroję.

Owe cechy wspólne obu zakonów wielu badaczy (oraz poszukiwaczy sensacji) skłaniają niekiedy do podejrzeń, że joannici są inną formą zakonu templariuszy, skrywających swoją tożsamość oraz mityczny majątek. Ale to tylko takie luźne

¹ Socha K. Darłowskie sakrum i profanum, Darłowo 2022, s. 52

dywagacje, być może jedynie przeciwników tych pierwszych.

Codzienny ubiór rycerzy zakonu joannitów był jednak koloru czarnego, z ośmiokątnym białym krzyżem. Templariusze dla odmiany – przypomnę – nosili podobne krzyże tyle że czerwone na białym tle, kojarzone z Malcią, kiedy to władali tą wyspą przez 268 lat. Dlatego nazywa się oba zakony także zamiennie Rycerzami Maltańskimi.

Owe podobieństwa zaczęły się dokładnie w chwili, kiedy w roku 1070 bractwo Świętego Jana prowadziło w Jerozolimie szpital i hospicjum dla pielgrzymów. Powstały w następstwie tą drogą zakon rycerski otrzymał nazwę potoczną „joannitów”. Chociaż właściwa ich nazwa – przypomnę – brzmiała Zakon Szpitalny Świętego Jana Jerozolimskiego, to jednak z czasem także sami siebie nazywali samorzutnie tak jak templariusze, właśnie Ubogimi Rycerzami Chrystusa.

Był to zatem zakon powstały w roku 1070, początkowo jako zdecydowanie włoski, a od roku 1099 funkcjonował już jako zakon rycerski w Jerozolimie.

Joannici przestrzegali reguły augustianów i dzielili się na rycerzy, kapelanów oraz braci służebnych. Pomimo, że żaden z utworzonych zakonów przy rekrutacji nowych członków nie stosował kryteriów narodowościowych, to jednak w jego szeregach licznie przeważały osoby pochodzenia romańskiego. W odróżnieniu jednak od zakonu templariuszy - reprezentujących przede wszystkim interesy feudałów francuskich - joannici byli związani z tymi, którzy pochodzili z Włoch.

Po upadku Akki w roku 1310, joannici zdobyli Rodos, gdzie założyli własne państwo. Utrzymywali się tam aż do 1522 roku, kiedy to zostali stamtąd wyparci przez wojska tureckie.

Zatem od roku 1530 zakon funkcjonowali już na Malcie. To stąd właśnie pojawiła się także w ich przypadku (to jest kolejna zbieżność z templariuszami) nazwa - Zakon Maltański i pod tą nazwą funkcjonowali oficjalnie aż do czasów napoleońskich. Doprawdy trudno jest zatem dziwić się temu, że – powtórzę raz jeszcze - niekiedy i przez wielu postrzegane są te oba zakony jako nieomal tożsame.

W toku swojej kampanii egipskiej w 1798 roku, Napoleon Bonaparte zajął Maltę i wygnał z niej joannitów. Zakon ten nie odzyskał już nigdy swojej siedziby, a jego pozycja polityczna oraz gospodarcza pogarszała się z czasem co raz bardziej.

Od roku 1834 główną siedzibą tego zakonu jest Pałac Maltański przy via Condotti w Rzymie. Co więcej Zakon Maltański nadal istnieje jako (i to taka ciekawostka) mini-państwo, które posiada nawet swoją eksterytorialność, ograniczoną do trzech ledwie obiektów (dwa w Rzymie i jeden na Malcie) oraz posługuje się najrzadszymi na świecie paszportami. Emituje swoje znaczki pocztowe, a nawet ma swoją walutę.

Społeczność tego mini-państwa ograniczona jest obecnie jedynie bodaj do dwunastu tysięcy (tutaj dane są niejednoznaczne, w zależności od okresu) rycerzy na całym świecie, w trzech różnych kategoriach przynależności.

W Polsce także mają swoją ambasadę i ambasadora. Nadal – tak jak przed wiekami - ich misją jest działalność charytatywna. W przeszłości należeli do tego zakonu w Polsce m.in. Józef Piłsudski, Ignacy Mościcki, czy kard. August Hlond. A w czasach nam współczesnych, członkami tego zakonu byli także kard. Franciszek Macharski, prymas Polski kard. Józef Glemp i wiele innych wpływowych osób świeckich (w tej liczbie Łukasz Szumowski, były minister zdrowia).

Byli to jednak najniżej ulokowani w hierarchii zakonnej członkowie III kategorii, wszak nie wywodzili się oni z arystokratycznych rodów o ponad dwustuletniej tradycji szlachectwa, co było od zawsze i jest nadal jednym z warunków objęcia najwyższych godności w hierarchii zakonnej tego zgromadzenia.

Ten zakon ma aktualnie stosunki dyplomatyczne (m.in. w randze ambasadorów) w 100 krajach, w tym ze Stolicą Apostolską oraz – jak mówię - z Polską. No ale to tyle, nieco przydługiej w moim wydaniu historii zakonu joannitów w kategoriach ogólnych. W tej sytuacji gdzie umiejscowione jest w tej opowieści Obrzycko i jego związki z owymi joannitami? A no jest i to bardzo!

Początki grodu kasztelańskiego, a później miasta Obrzycko

Na ziemiach polskich zakon joannitów istniał zatem od początkowych lat XIII-go wieku, kiedy to przybyli oni na teren Małopolski i na Pomorze. Nie mogli wówczas jeszcze nazywani być Zakonem Maltańskimi, bo rzecz działa się przed 1310 rokiem. Przypomnę, że pierwszą (lub jedną z pierwszych siedzib zakonu na terenie Polski) placówkę zakon ten ulokował (na mocy książęcego nadania ziemi) na Pomorzu Zachodnim w Sławsku (zwanym dawniej Starym Sławnem). Jest to miejscowość w pobliżu mojego Darłowa, a precyzyjniej, około 2 km od powiatowego dzisiaj Sławna.

Do Polski zaprosił ich - pod wyraźnym wpływem sugestii polsko-czeskich - książę Racibor I-szy białogardzki (z Białogardy). Oto w dokumencie opatrzonym datą 1223 roku nadał on joannitom pierwsze ziemie pośród swoich posiadłości.

Najwięcej oddziałów klasztornych joannitów w Polsce powstało w konsekwencji na Dolnym Śląsku, na moim rodzinnym Pomorzu Zachodnim oraz na sąsiedniej Ziemi Lubuskiej (tutaj wyraźnie zbliżamy się geograficznie do Obrzycka). Nadano im także wiele miejscowości, w tej liczbie ziemie na której, z całą pewnością przed rokiem 1238 zbudowano podwaliny pod wspomniany gród kasztelański Obrzycko. Było to jednak nie wcześniej niż po 1223 roku.

Tak oto w mało precyzyjnym przybliżeniu można przyjąć, że Obrzycko liczy sobie jako – na swój sposób - organizm administracyjny [czy chociażby tylko rybacka osada] w rzeczywistości już ponad 900 lat (przy uwzględnieniu oczywiście „niepewnej” wzmianki o jego istnieniu z 1100 roku – przyp.).

To oczywiście jest bardzo niedokładne datowanie bo przecież joannici rezydujący w Poznaniu – jak zauważyłem - nie otrzymali w nadaniu książęcym zupełnie nie zasiedlonej ziemi. Stosując analogię historyczną przekonujemy się bowiem, że w ciągu pierwszego okresu epoki „brązowej” grupa kultury łużyckiej obejmując północną część dzisiejszej Wielkopolski (a więc w tej liczbie obecne tereny Obrzycka), oraz Pomorza Zachodniego przybiera coraz więcej odrębnych cech indywidualnych, pozostawiając po sobie wyraźne piętno na tej ziemi.

Ów silny odłam ludności prastłowiańskiej, który wobec zaznaczającego się naporu germańskiego od zachodu buduje pierwsze warownie ziemne, to przecież protoplaści dzisiejszych Wielkopolan, a w tej liczbie Obrzyczan.

Prawdopodobnie w tamtym to okresie, na którejś z wysoczyzn w dzisiejszym rozwidleniu rzeki Warty oraz Samy, powstała jedna z takich warowni ziemnych, będąc niejako protoplastą obecnego Obrzycka. Oczywiście dzisiaj jeszcze nie odkryto precyzyjnie miejsca jej ulokowania w terenie. To bowiem wymaga wielu żmudnych, a do tego wielce kosztownych badań.

A propos badań. W czasie kolejnych poszukiwań, w pierwszych latach XX-go wieku, w pobl-

żu Obrzycka, na polu pod lasem, z prawej strony drogi prowadzącej do Pęckowa, znaleziono tzw. „skarb obrzycki” w postaci brył srebra oraz monet rzymskich, tureckich i perskich. „Skarb” ów ważył około 8 kg, a pochodził z X-tego i XI-tego wieku, co świadczy nie tylko o rozległych już wówczas kontaktach handlowych Obrzycka z „szerokim światem”, ale także jest dowodem na istnienie w tym rejonie życia gospodarczego w miasteczku.

Obok traktów lądowych kupcy (działało to oczywiście w obie strony) przybywali więc do miejscowości także Wartą. Sama z uwagi na duże spadki rzeki oraz sztuczne spiętrzenia na odcinku dwóch kilometrów przed swoim ujściem oraz wąskie koryto była żeglowna (w sensie gospodarczym) najczęściej tylko w dół, do Warty.

Właśnie owe rzeki były najistotniejszym argumentem budowy tej warowni. Dostarczane w regionie drogą wodną, na zasadzie wymiany handlowej towaru (w tej liczbie żywność) wymagały ochrony oraz obrony przed innymi chętnymi.

W tym miejscu godzi się przypomnieć istotę funkcjonowania zakonu joannitów. Była nią ochrona szlaków handlowych, a żeglowna już wówczas rzeka Warta – o czym wspominałem - bez wątpienia była drogą transportu towarów m.in. z grodu Poznań w kierunkach północnym oraz zachodnim.

Oczywiście także w odwrotnym kierunku przewożono towary m.in. „zamorskie”.

Warta oraz Noteć „zlewają” się bowiem do dzisiaj poniżej zachowanej jeszcze, dawnej krzyżackiej warowni w Santoku (w pobliżu Gorzowa Wlkp.).

Obecnie ta kamienna wieża jest pracownią mojego dobrego znajomego, plastyka i poety zarazem, Jerzego „Gąsiora” Gąsiorka, więc miałem zupełnie niedawno niebywałą przyjemność po raz kolejny podziwiać owe piękne widoki z tej wieży, na wyniesieniu terenu nad rozlewiskiem.

To – uwierzcie mi - naprawdę pozostawia niezatarte wrażenia estetyczne.

Obrzycko oczywiście nie było jeszcze w pierwszej połowie XIII-go wieku miastem, a pewnie jedynie małą osadą rybacką, jednak jej mieszkańcy mieli już czego prywatnie bronić przed ewentualnymi grabieżcami.

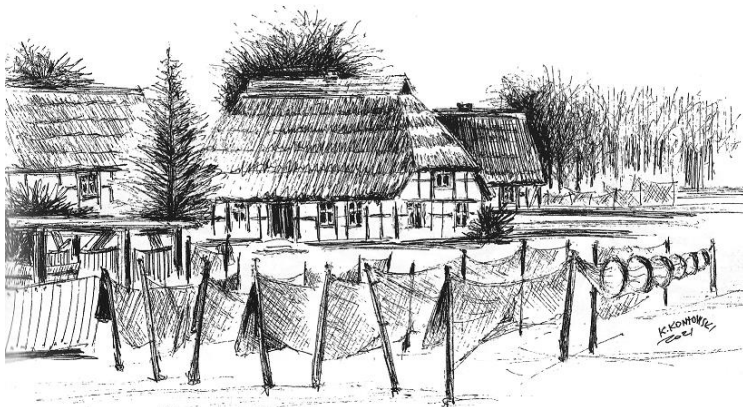


Łódzie rybackie na brzegu w rysunku Konstantego Kontowskiego. Dzisiaj nie ma już takich łodzi.

Tutaj bowiem łatwiej niż gdzie indziej było o żywność, wszak polowano także na zwierzynę w okalających ich miejsce bytowania licznych oraz gęstych lasach puszczy nadnoteckiej i nadwarciańskiej.

A zatem joannici otoczyli opieką ową osadę rozlokowaną na wyniesieniu nad samą Wartą. Przy

czym pierwsze chaty rybackie (czy może raczej domostwa) ulokowane były nieco niżej, na opadającym w kierunku rzeki zboczu moreny, w rejonie obecnej ulicy Rybaki (zwyczajowo ulicę tę mieszkańcy Obrzycka określają po prostu „Nad Wartą”).



Chaty rybackie, a przed nimi suszą się sieci w rysunku
Konstantego Kontowskiego

Ta uliczka nadal wygląda jak ze starej powieści, tyle, że teraz te pozostałe jeszcze gdzieś niegdzieś malutkie domki są w dużej części ozdobione schludnymi elewacjami lub są w tych miejscach po prostu „nowoczesnymi” budowlami. Powyżej tego zbocza teraz malowniczo rozlokowało się miasteczko.

Nim jednak miasto zostało podniesione do tej rangi, było grodem kasztelańskim (wiele wskazuje na to, że istniał on już – o czym wspomniałem - przed 1100-ym rokiem), a zamek kasztelański posadowiony był na tzw. Łysej Górze (tak nazwano niewielkie, od pewnego czasu spłaszczające się

wyniesienie po lewej stronie Samy, tuż przy jej połączeniu się z Wartą).



Rekonstrukcja średniowiecznej osady w rysunku Konstantego Kontowskiego

Prowadzone kiedyś badania archeologiczne ujawniły nawet, że od pobliskiego kościoła pod rzeką Wartą prowadziło przejście „ewakuacyjne” do obecnej Zielonejgóry, dawnego przedmieścia Obrzycka, co jednoznacznie świadczyć może o zdolnościach politechnicznych ówczesnych budowniczych, ale także o myśli taktycznej mieszkańców zamku kasztelańskiego.

Taki stan rzeczy prowadzi w linii prostej do wniosków, że joannici przybyli tutaj z pomocą kasztelanowi obrzyckiemu, który jako przedstawiciel polskiego króla dysponował przecież władzą administracyjną, sądowniczą oraz grupą rycerzy na tym obszarze.

To joannici właśnie mieli opiekować się mieszkańcami pobliskiej osady rybackiej, ale przede wszyst-

kim ich zadaniem było ochranianie (w szerokim rozumieniu tego pojęcia) szlaku handlowego na Warcie.

A zatem to nie zakonnicy byli bezpośrednimi i jedynymi założycielami kasztelańskiego grodu Obrzycko, skoro w chwili ich tutaj przybycia funkcjonował już w swoim zamku kasztelan obrzycki.

Prawdę mówiąc, ten ulokowany w tym rejonie zakon na uboczu, taką opiekę roztaczał także nad większymi ośrodkami miejskimi oraz handlowymi, w tej liczbie mowa zwłaszcza o Szamotułach oraz Czarnkowie. Ale najbliższe ich sercu i najbardziej „ich” było z oczywistych względów Obrzycko, którego od 1253 roku byli właścicielami, a precyzyjniej; tytuł własności tego grodu posiadali joannici z Poznania, pomimo że do 1390 jeszcze istniała kasztelania w Obrzycku.

Zatem, już na wiele wieków przez okresem założenia w rejonie Obrzycka gospodarstwa pomocniczego, a być może nawet klasztoru Zakonu Szpitalnego Świętego Jana Jerozolimskiego, w tym miejscu toczyło się bogate (na swój sposób oczywiście) życie gospodarcze oraz po części towarzyskie, a tutejszych mieszkańców jednoczyła przede wszystkim troska o przetrwanie w tym obszarze bytowania.

W takich to okolicach joannici mogli więc po wiekach przejąć we władanie swojego zakonu ziemię, by wspomagać także swoją misję obronną oraz gospodarczo – sakralną na innych swoich ziemiach, wszak klasztorów joannitów w całej Polsce nie było aż tak znowu wiele, a potrzeby były ogromne.

Obrzycko po raz pierwszy miastem

Oczywiście to implikowało rozwój tego mini-regionu, a w konsekwencji rozbudowę – o czym już wspominałem - utworzonej wcześniejszej warowni ziemnej, podniesionej następnie do rangi grodu kasztelańskiego, by w połowie XV-go wieku otrzymać po raz pierwszy prawa miejskie. Nie ma wprawdzie dokumentów potwierdzających precyzyjnie datę lokacji miasta i otrzymania praw miejskich, a o fakcie posiadania owych praw świadczą jedynie pierwsze dokumenty z 1458 roku, informujące o wystawieniu przez miasto zbrojnego regimentu na wojnę z zakonem krzyżakami, a precyzyjniej, z walczącym z Polakami Zakonem Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego.

Z tym regimentem zbrojnym oczywiście przesadziłem, wszak był to tylko jeden rycerz (lub po prostu obywatel miasta), jako że na Obrzycku (musiało być już wtedy ono niewielkim miastem), spoczywał obowiązek, w zależności od liczby mieszkańców na jego terenie, wystawienia odpowiedniej grupy obywateli na tę wojnę (zwaną niekiedy wyprawą malborską).

O tym, że Obrzycko było miastem relatywnie niewielkim świadczy taka oto analogia. Na wojnę z zakonem krzyżackim np. Wronki wysłały dziesięćkrotnie więcej niż Obrzycko swoich mieszkańców, a Szamotuły jeszcze więcej, bo dwunastu, sąsiedni Ostroróg czterech, a Poznań aż sześćdziesięciu.

Nie długo jednak Obrzycko cieszyło się owymi prawami, gdyż z trudnych do ustalenia przyczyn relatywnie szybko nastąpił regres w pozycji Obrzycka na „lokalnym rynku” i już w 1580 roku miasteczko zdegradowano do poziomu wsi (mowa o utracie odrębności prawnej oraz sprawowanych miejscowo urzędów). Chodziło również w tym procesie o obniżenie pozycji gospodarczej i kulturowo-twórczej miejscowości.

A tak na marginesie; cóż oznaczało w tamtym czasie nadanie praw miejskich oraz na czym ono polegało? Prawa miejskie dla miejscowości podnosiło jej rangę poprzez nadanie większych - niż mieli to mieszkańcy np. wiosek, - autonomicznych możliwości decyzyjnych. Miasto takie miało więc usankcjonowaną sposobność ustalania swojego prawa miejscowego, pod warunkiem, że było ono stanowione w zgodzie z zasadami ogólnymi prawa państwowego. Niekiedy, np. na sąsiednim (w rozumieniu tego skrawka Wielkopolski – przyp.) Pomorzu Zachodnim, miejscowościom nadawano godność miasta na prawie m.in. lubeckim lub magdeburskim. Oznaczało to więc, że system norm prawnych w tych miastach był nie tylko wzorowany, ale także uzależniony wręcz od praw miejskich obowiązujących w tych pruskich landach.

Dodatkową determinantą w kształtowaniu się systemu prawnego na Pomorzu Zachodnim (i szerzej w Europie) były reguły przyjmowane przez Związek Miast Hanzeatyckich. Ale to pewnie zbyt wiele już szczegółów, które tego miasteczka (a nawet Wielkopolski do czasów zaborów) nigdy nie dotyczyły.

W Obrzycku obowiązywał więc polski system, wolny od obcych systemów prawnych. I to w kontekście przyszłych losów miasta oraz Wielkopolski warto szczególnie podkreślić.

Na charakter miasta przemożny wpływ miał również fakt, że w na początku XVII-tego wieku (w 1628 roku) powstaje w Obrzycku gmina luterńska, co kolejny raz zainicjowało ponowny rozwój miejscowości. Owi wyznawcy luteranizmu byli w przewadze rzemieślnikami niemieckimi uciekającymi najczęściej ze swojego kraju z powodu toczącej się wówczas wojny trzydziestoletniej (w latach 1618 – 1648 – przyp.), a która wybuchła na tle politycznym i religijnym. Dzięki temu miasto stało się w krótkim czasie silnym ośrodkiem produkcji sukienniczej.

Jest w tej sprawie stosowny (jeden z doprawdy niewielu zachowanych w historiografii tej miejscowości) dokument, tym razem świadczący także o rozległych kontaktach miasta z różnymi ośrodkami, również za granicą Wielkopolski i kraju.

W tym miejscu, pozwolę sobie przybliżyć historię oraz założenia tego wyznania protestanckiego. Protestantyzm zatem² – jako wspólne określenie dla obecnie istniejących kilku, różnych wyznań w łonie chrześcijaństwa – narodził się oficjalnie w 1529 roku, kiedy to na Sejmie w Spirze, grupa przedstawicieli miast oraz kilku spośród książąt niemieckich zgłosiła ostry sprzeciw (protest, co miało wpływ na semantykę pojęcia) wobec decyzji cesarskiej, zakazującej dalszego rozpowszechniania

² Socha K. "Darłowskie sakrum i profanum" 2022

(przecież i tak już wówczas popularnej) doktryny Marcina Lutra, a także jego zwolenników.

Oczywiście owo pojęcie „protestantyzm” jest bardzo pojemne. Niejako „mieszczą się” w nim, zarówno luteranie, nawiązujący tak bezpośrednio i w całości do założyciela protestantyzmu, jak również ewangelicy, którzy uwypuklają Ewangelię jako jedyne źródło inspiracji religijnej.

Różne Kościoły protestanckie, jakie powstały w XVI-tym wieku, do obecnej chwili stanowią więc zestaw wielu propozycji interpretacyjnych doktryny chrześcijańskiej, dostosowanych do epoki, a nawet kraju w jakim się kształtowały. Chociaż początki protestantyzmu wiążą się ściśle z nazwiskiem Marcina Lutra (1483-1546), mnicha z zakonu augustynianów, profesora teologii Uniwersytetu w Wittenbergu, który 31 października 1517 roku ogłosił swoje 95 tez przeciwko praktyce nauki katolickiej, to jednak pod wpływem luteranizmu narodziły się dalsze kierunki w łonie protestantyzmu m.in. „kalwinizm” w Szwajcarii czy „anglikanizm”, a później także „baptizm” w Anglii.

Dzisiaj „odłamami” protestantyzmu są lub do niedawna były m.in. wspomniane przeze mnie „kalwinizm” – jako najbliższy luteranizmowi, „metodyści”, „kwakrzy”, „arianie” czy „adwentyści” oraz „zielonoświątkowcy”.

Szczególną odmianą protestantów pozostaje ugrupowanie powstałe w Ameryce, które jednak zwalcza zarówno silnie protestantyzm jak i katolicyzm. Mowa jest o organizacji „Badaczy Pisma Świętego”.

Rozpoznawalnej w Polsce bardziej jako „Świadkowie Jehowy”.

Wracając jednak do podstaw luteranizmu, wszak to on w Obrzycku i na obszarze Wielkopolski poczynił kiedyś dla katolików, a tym samym dla kultury katolickiej największe straty, ale już nie dla rozwoju miasta. Warto zwrócić więc uwagę na kilka przesłanek.

Dla jasności rzecz ujmując w skrócie; Protestantyzm odrzuca m.in. katolicką doktrynę o dobrych uczynkach, umartwianiu się oraz ascezie. Także rezygnuje z celibatu i ślubów zakonnych. Kult religijny przybrał w protestantyzmie cechy mniej formalne. Rola pastora polega jedynie na przewodniczeniu i niejako organizowaniu modlitwy, nie zaś na rzeczywistym sprawowaniu liturgii (w rozumieniu, nas katolików – przyp.). Pastor czy Superintendent nie jest zatem (tak jak kapłan w kościele katolickim) w najważniejszym momencie liturgii pośrednikiem pomiędzy wiernymi oraz Bogiem, a jedynie kierującą sprawowaną w danym momencie liturgią.

Nie ma tam właściwie hierarchii kościelnej, a jedynie ogranicza się więc ona do funkcji administracyjnej.

W aspekcie organizacji Kościoła, luteranizm stał się domeną władzy świeckiej, pozbawioną charakteru sakralnego, wręcz konserwatywną organizacją społeczną.

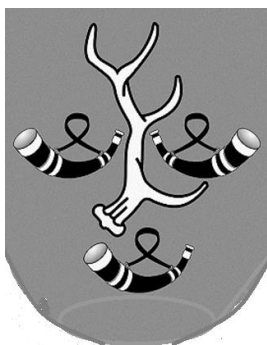
Mówiąc o gminie luterkańskiej nie możemy zapominać, że w tym samym okresie wzmocniona została w Obrzycku równolegle diaspora żydowska, co wpłynęło znacząco na kondycję gospodarczą

miasta. Przedstawiciele wyznania mojżeszowego – chociaż trudna do ustalenia jest data pojawienia się ich tutaj - nigdy jednak nie wpłynęli ujemnie na rozwój Obrzycka, a nawet wręcz przeciwnie. To oni bowiem trzymali w swoich rękach handel oraz drobne usługi.

Po raz drugi miastem

Już jednak w 1638 roku, za wstawiennictwem księcia Krzysztofa Radziwiłła, miasto ponownie otrzymuje z rąk króla polskiego Władysława IV-tego prawa miejskie.

Tym razem już nie ma wątpliwości, że Obrzycko to miasto ze wszystkimi przysługującymi jemu prawami.



Od tego momentu miasto to posiada również swój nowy herb, który przedstawia na czerwonej tarczy herbowej trzy trąby ze złotymi przepaskami i sznurami. Między nimi umieszczony jest złoty róg jelenia. Jest to jednocześnie herb rodziny Raczyńskich – Nałęcz

obrzyckich, którzy (będąc właścicielami terenu – przyp.) nadając go miastu zyskali także od króla dla Obrzycka wiele przywilejów miejskich.

Powyższe wydarzenia miały oczywiście wiele wspólnego z faktem powołania w mieście gminy lutherańskiej. Wcześniej jednak, w XVII-tym wieku za

sprawą Krzysztofa Radziwiłła [z rodu ród znanego w historii oraz uwiecznionego literacko m.in. w „Potopie” Henryka Sienkiewicza], hetmana wielkiego litewskiego, herbu trzy Trąby, właściciela tego miasteczka, do Obrzycka napływają także wyznawcy wspomnianego wcześniej, innego nurtu protestantyzmu - kalwinizmu oraz rzemieślnicy ze Śląska.

To oczywiście kolejny raz pozytywnie wpływa na dynamikę rozwoju miasta. Od tego okresu miasto zamienia się z czasem w jeszcze bardziej prężny ośrodek tkacki (w czym pomagają oczywiście urodzajne gleby i uprawy na nich lnu). Co oczywiście nie umniejsza roli Obrzycka jako miejscowości rybackiej, ale teraz już nie tylko. Jednak to właśnie sukiennikom książę Radziwiłł nadaje w 1641 roku status „Bractwa Sukienniczego w miasteczku Obrzycko”. Wartość tej decyzji podkreśla pewnie fakt, że po blisko 150 latach, bo w 1788 roku (jak podają źródła) w Obrzycku było już 60 sukienników (w kilka lat później było ich już aż 90), 18 płócienników i przędzalników, a także 48 szewców, 29 piwowarów, 20 krawców, 12 kuśnierzy oraz nieliczne farbiarnie tkanin. Były też: młyn wodny, młyn blecharski albo jak kto woli folusz, czyli taka maszyna, za pomocą której tkaniny wełniane spilśniane są przez uderzenie w nie tłokiem.

Rozwój rzemiosła w mieście pozwala dodatkowo podkreślić jego rangę poprzez założenie tutaj w 1691 roku tzw. Bractwa Kurkowego oraz powołanie pierwszego jego Króla. Po wielu latach, w okresie międzywojennym, królami tegoż Bractwa

zostali m.in. Brunon Schwartz, Wincenty Taranczewski (ten, który w roli burmistrza miasta doprowadził do utraty praw miejskich przez Obrzycko w 1934 roku – przyp.), Kazimierz Gałęski, a później także dziadek mojej żony Ewy – Józef Szydłowski.

Kolejną ważną osobistością mającą wpływ na proces dynamicznego rozwoju Obrzycka był Władysław Radomicki herbu Kotwicz, przez pewien czas właściciel Obrzycka oraz fundator wielu świątyń katolickich w regionie. To za jego sprawą w Obrzycku zbudowany został (w latach 1714 – 1758) kościół, o którym w dalszej części mojego opowiadania na temat sukcesywnie poznawanego przeze mnie miasteczka.

Historia miasta z religiami w tle

Warto jednak przypomnieć lub chociażby tylko zauważyć (co w chwili kiedy w Obrzycku pojawiają się aż dwa odłamy protestantów jest bardzo ważne), że już 1298 roku poznański biskup Andrzej Zaremba wspomina w swoim dokumencie, że jest tutaj parafia katolicka. Pierwszy katolicki kościół parafialny był rzecz jasna budowlą drewnianą, a ulokowany został na łagodnym wyniesieniu nad Wartą, w miejscu obecnej świątyni. Bardzo blisko dawnego zamku kasztelańskiego.

Doprawdy trudno jest mi dzisiaj ustalić precyzyjnie okres, w którym pojawili się liczniej w Obrzycku – wspomniani wcześniej - także przedstawiciele wyznania mojżeszowego, rozpoznawalni bardziej

pod określeniem „żydzi”. Dość jednak powiedzieć, że w pewnym momencie (na początku XIX-tego wieku – przyp.) byli liczniejszą grupą mieszkańców miasteczka niż katolicy. W Obrzycku w tamtym czasie (na 1639 jego obywateli) zamieszkiwało bowiem 371 katolików, 379 żydów oraz aż 889 protestantów. To jest ważny wskaźnik dla oceny kondycji gospodarczej miasta.

Bez wątpienia był to bowiem czas, kiedy w Polsce była ich bardzo liczna (bodaj w Europie najliczniejsza) diaspora, wszak oni w tamtym czasie nie mieli swojego autonomicznego państwa i „rozsiani” byli po wielu krajach, wtapiając się w ich społeczność.

Utworzyli więc także w tym miasteczku swoją liczną gminę, a jeszcze do niedawna zauważalne były tutaj pozostałości ich „atrybutów”, że wymienię m.in. kirkut (wydzielony żydowski cmentarz) z XVI-tego wieku, zbudowali swoją pierwszą, drewnianą jeszcze bożnicę czy zazwyczaj małe, charakterystyczne żydowskie chatki.

Także w kronikach miejskich odnotowano, że w powstałej w Obrzycku w 1905 roku Ochotniczej Straży Pożarnej, wśród 34 jej członków, obok dwudziestu czterech Niemców, sześciu Polaków było także czterech Żydów. Jest to więc kolejny ślad jaki odnalazłem w dostępnych mi materiałach, kiedy pośród grupy mieszkańców Obrzycka wyodrębniono tę podgrupę lokalnej społeczności. Do tego wątku wróć jednak w dalszej części mojego opowiadania.

Przełom XVIII-tego oraz XIX-tego wieku to okres zaboru pruskiego, lecz także pojawienia się

tutaj przedstawicieli wybitnego rodu Raczyńskich. Nie potrafię jednak powiązać faktu włączenia tego miasteczka (i regionu) w 1807 roku w skład Księstwa Warszawskiego oraz „przypisania” Obrzycka do ówczesnego powiatu obornickiego, ze zmianami tytułów własności do rejonu obrzyckiego w rodzinie owych Raczyńskich.

A może w praktyce nie ma tutaj żadnego związku przyczynowo-skutkowego?

W 1815 roku bowiem, w wyniku podziału ich rodowego majątku, Obrzycko wraz z przyległymi folwarkami otrzymuje Atanazy Raczyński, a później także jego brat Edward. To im zawdzięcza swoje powstanie m.in. poznańska Biblioteka Raczyńskich, z jakże ogromnym księgozbiorem oraz dokonanie zakupu kolekcji wspaniałych obrazów, prezentowanych aktualnie w Muzeum Narodowym w Poznaniu czy w pałacu. w Rogalinie.

W 1825 roku ustanowiono tutaj nawet rodową ordynację obrzycką. Owa ordynacja, czy jak kto woli, powiernictwo rodowe, jest powierzeniem „w wiarygodne ręce” części dóbr rodziny, a dysponenti kierują się swoimi własnymi prawami dotyczącymi dziedziczenia tego majątku (w tym przypadku) ziemskiego oraz trwałego w postaci miasta, bezwzględnie przestrzegają własnego statutu (jest nim akt fundacyjny) zapobiegającego ewentualnemu rozdrobnieniu ich dóbr rodowych. Dziedziczył go - w zgodzie z ową ordynacją - najstarszy członek (najlepiej męzczyzna) rodu, koniecznie w pierwszej kolejności potomek ordynata w linii prostej. Założycielem

oraz pierwszym ordynatem był tutaj Anatazy Raczyński, a drugim jego syn Karol.

W 1861 ordynację przejmuje daleki kuzyn poprzedników z linii kurlandzkiej (za zgodą cesarza Wilhelma II Hohenzollerana) Zygmunt Raczyński, zostając trzecim ordynatem na Obrzycku, by w 1901 roku ponownie przekazać obrzycką ordynację w ręce Zygmunta, syna swojego poprzednika, Karola Raczyńskiego. Czwarty ordynat tego obszaru, przywołany Zygmunt Raczyński musiał przekazać swoje dobra władzy PRL po 1945 roku, a sam dokończył żywota w roku 1980, jako spadkobierca dziedzicznego tytułu hrabiowskiego, nadanego jego poprzednikowi, także Zygmuntowi Raczyńskiemu, trzeciemu ordynatowi na Obrzycku przez niemieckiego cesarza w 1905 roku. Wcześniej arcybiskup Ignacy Raczyński otrzymał z rąk króla pruskiego tytuł księcia. O tym jednak za chwilę.

Chociaż kolejni ordynaci na Obrzycku byli wyznania ewangelickiego, a ponadto sami uważali siebie za Niemców, utrzymywali wręcz wzorowe stosunki z okoliczną polską ludnością i polskim ziemiaństwem.

Znamienna przesłanką jednak jest, że to ewangelicy (w domyśle ludność niemiecka) pełnili w miasteczku najważniejsze funkcje administracyjne w majoracie Raczyńskich. Żydzi z kolei zmonopolizowali handel zbożem, bydłem oraz kupiectwo. Wśród Polaków kilku zaledwie na początku XIX-tego wieku było lekarzy, nauczycieli czy duchownych. Do Niemców oraz do Żydów należała wówczas także większość okazałych domów i sklepów. Co bardziej ubodzy

Polacy natomiast trudnili się drobnym handlem oraz pracą najemną.

W rękach tej rodziny majątek pozostawał – przypomnę raz jeszcze - aż do 1945 roku, a więc także przez cały okres II wojny światowej dzięki ich „niemieckości”, a utracili go dopiero na mocy PRL-owskich ustaw o wywłaszczeniach.

Wcześniej jednak, bo w 1934 roku miasto kolejny raz utraciło prawa miejskie (ponoć za sprawą tutejszych rzemieślników, którzy oburzali się na wysokość płaconych przez nich podatków), by je odzyskać dopiero w 1990 roku.

Tuż bowiem przed wybuchem wojny Rada Miasta Obrzycka, odpowiadając na partykularny wniosek ówczesnego burmistrza miasteczka – Wincentego Taranczewskiego, zdecydowała w formie głosowania o obniżeniu statusu miejscowości do rangi wioski, bo to najbardziej opłacało się samym radnym i ich kolegom, rzemieślnikom oraz majątnym rolnikom. Sam burmistrz należał do obu tych grup, a nawet im swego czasu przewodniczył. Oczywiście ten gest burmistrza oraz poszczególnych radnych zaowocował utratą stanowiska przez burmistrza Taranczewskiego.

Chciało by się rzec jak w tej szkolnej dyktetyce, kiedy to, zapytany w szkole o największy autorytet Wania i odpowiedział, że jest to oczywiście Lenin. Otrzymał za tę odpowiedź piątkę.

Ale siadając smutny wymamrotał jeszcze pod nosem "*Sorry Winnetou, biznes jest biznes*".

Jest jednak w tym wydarzeniu zawarta także bardzo ważna informacja. Otóż po pierwszej wojnie

światowej, w obliczu wygranego Powstania Wielkopolskiego to polscy mieszkańcy Obrzycka odzyskali swoją pozycję gospodarczą oraz administracyjną w miasteczku. Co z tym potrafili zrobić, to już inna sprawa.

Odzyskaniu pozycji Polaków w Obrzycku przed wybuchem Powstania służyły także ich oddolne inicjatywy. Utworzono bowiem wcześniej (w procesie minimalizowania skutków germanizacji tego terenu) m.in. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Towarzystwo Przemysłowe czy Katolickie Stowarzyszenie Robotników. Były to czysto polskie organizacje patriotyczne.

Trzeci raz – o czym chwilę wcześniej wspominałem - Obrzycko otrzymało prawa miejskie dopiero w okresie transformacji ustrojowej. Także tym razem (w 1990 roku – przyp.) inicjatorami zmiany statusu miasta po ponad pół wieku byli lokalni rajcowie. Ten moment pamiętam dokładnie z autopcji, bo byłem wówczas już od blisko jedenastu lat z tym (ponownie) miasteczkiem pośrednio związany. Jest to dzisiaj miasto o powierzchni czterech ledwie kilometrów kwadratowych, zamieszkałe nominalnie przez blisko dwa i pół tysiąca mieszkańców.

Wzloty i upadki miasta. Przypadek czy takie obiektywne koleje losu?

Trudność w owym precyzyjnym dochodzeniu przyczyn pierwszego i kolejnego obniżenia rangi Obrzycka leży po stronie braku dostępu do dokumentów (jeżeli one oczywiście w wystarczającej ilości oraz zawartości jeszcze istnieją) ale po części także małego na ten czas zainteresowania historyków w procesie poszukiwania i śledzenia historii tak niewielkiego i niewiele znaczącego na przestrzeni dziejów ośrodka miejskiego, w kategoriach szczegółowych, a nie tylko ogólnych.

Nie mam jednak wątpliwości, że - nie tylko w pierwszym okresie istnienia grodziska - bardzo ważną rolę w budowaniu oraz rozwoju pozycji tej miejscowości odegrali członkowie zakonu rycerskiego joannitów. Swego czasu upadek pozycji tego miasteczka przypisać można więc było – powtórzę to raz jeszcze - na przykład okresowemu brakowi zainteresowania szlakiem handlowym (wodą oraz lądem) biegnącym m.in. przez Obrzycko lub tylko usługami świadczonymi przez tutejszych rzemieślników.

Nie leżało to więc żadną miarą po stronie mieszkańców miejscowości, a raczej prowadzonej w regionie szeroko pojmowanej polityki gospodarczej.

Pośród wielu przyczyn, dopatruję się na pewnym etapie związku przyczynowo-skutkowego w tym, że obniżenie siły wpływów zakonu joannitów w Polsce oznaczało również w tamtym czasie pośrednio spadek zainteresowania się Obrzyckiem.

Przy tej okazji – wracając do źródeł powstania i rozbudowy miasteczka - warto pewnie wyjaśnić kolejną ciekawostkę.

W dostępnych dokumentach, artykułach prasowych i zasłyszanych przekazach ustnych dostrzegalne jest założenie, że przynajmniej rozwój grodziska kasztelańskiego Obrzycko u ujścia Samy (bo skupisko ludzkie, w formie osady rybackiej nad brzegiem Warty już przecież wcześniej istniało) przypisuje się – i bardzo słusznie – doświadczonym przez lata w działaniach wojennych oraz wyprawami krzyżowymi (o czym powyżej przekonywałem) zakonnikom, którzy wykorzystywali w dobry sposób owo doświadczenie, tworząc swoje przyszłe siedziby.

No właśnie, dlaczego tak jednym tchem - mówiąc o zakonie w okolicach Obrzycka – przywołuje się w rzekę Samę, a nie większą od niej Wartę, do której owa Sama wpływa (czy jak kto woli; uchodzi)?

Dzieje się pewnie tak dlatego, że owi joannici swoje siedziby, a szczególnie gospodarstwa pomocnicze zakładali zwyczajowo z dala od zamieszkałych ob.-szarów, na glebach urodzajnych i najczęściej w pobliżu „wody” (rzeki, morze itd.). Była to zwykła pragmatyka.

Zatem grodzisko Obrzycko oraz późniejsze miasto rozlokowane na wywyższeniu terenu nad Wartą nie leży dokładnie na tym samym miejscu, gdzie było owo gospodarstwo joannitów i jego przyległości.

Zakonnicy różnego (najczęściej niższego) szczebla w hierarchii zakonnej funkcjonowali w pewnej od-

ległości od grodziska i miejsca połączenia Samy z Wartą (pewnie bardziej w górę rzeki Sama, prywatnie stawiam na teren na wysokości dzisiejszego Słopanowa lub nawet Kobylnik), lecz wywarli przemożny wpływ na rozwój pobliskiego Obrzycka.

Pouczali oni lokalnych mieszkańców oraz inspirowali Obrzyczan do racjonalnego działania w celu własnego i grodziska dobra, a w konsekwencji rozwoju miejscowości.

Wróćmy jednak jeszcze głębiej do korzeni. Pierwsi Obrzyczanie - jak sugerują źródła historyczne – trudnili się rybołówstwem na rzece, co nie oznacza oczywiście, że tylko łowili ryby. Przecież rybołówstwo to cały „przemysł” lokalny. Mowa o budowie łodzi rybackich, wyrabianiu sieci do połowów, wreszcie to proste przetwórstwo ryb oraz ich konserwacja w celu wydłużenia okresu przydatności do spożycia.

Joannici zatem zaproponowali swoim sąsiadom, by ci poszerzyli zakres swoich umiejętności oraz usług o inne dziedziny życia gospodarczego, rozwijając swoje walory politechniczne oraz osobowościowe. Nie wszyscy bowiem w tym grodzie musieli „od kołyski po grób” zajmować się rybołówstwem. Wraz z pojawieniem się konia potrzebni byli kowale, a budowa chat wymagała drwali i cieśli, wreszcie produkcja żywności innej niż ryby i leśna zwierzyna wymagała jeszcze innych umiejętności. Analizując dalej; transport rzeczny potrzebował obsługi technicznej na brzegu, składowania, drobnych napraw, wytwarzania dębowych beczek oraz skrzyń na towary itd.

Rzekł bym, że pod czujnym okiem bywałych w świecie zakonników tworzyły się w Obrzycku specjalizacje rzemieślnicze, co dawało ten właśnie, szerzej rozumiany rozwój miejscowości. Oni to wskazali pewnie mieszkańcom miejscowości jak należy wykorzystywać rentę swojego położenia geograficznego. Mowa m.in. o piętrzeniu wody w dolnym, blisko dwukilometrowym odcinku Samy, w miejscu gdzie dzisiaj są cztery śluzy, bo tamten odcinek moreny dennej powodował wyraźne przyspieszenie nurtu rzeki, zbliżonego wręcz do górskich potoków.

W ten sposób zaistniała już wówczas – o czym wspominałem - możliwość np. mechanicznego mielenia zboża, ale także spłśniania materii tkackiej we młynie blecharskim. Traktuję to w kwestii Obrzycka jedynie jako ciekawostkę, ale być może coś w tym jest?

Joannici chronili także – podobnie jak ich poprzednicy templariusze - przepływających Wartą kupców i ich towary, świadcząc także inne usługi. Mowa m.in. o przyjmowanie roli swoistego banku, jednocześnie świadczyli jeszcze inne usługi.

Otóż w czasie wojen krzyżowych i pielgrzymek do Ziemi Świętej liczni wędrowcy-pielgrzymi templariuszom wpłacali jakąś określoną sumę w „kasie” komandorii (tak się nazywały klasztory templariuszy), a w zamian otrzymywali uwiarygodniony dokument, uprawniający do wypłaty takiej kwoty w innej, jednej z rozrzuconych po całej Europie komandorii.

Dzięki temu nie musieli podróżować z pieniędzmi „w sakwie”, co w oczywisty sposób minimalizowało ry-

zyko np. napadów rabunkowych na nich i nieuniknionych w takich okolicznościach strat.

Czy zatem joannici oferowali przy traktach handlowych (w tej liczbie także w Obrzycku) taką samą usługę? Pewnie tak, skoro tak bardzo do templariuszy byli podobni. Ale to tylko takie moje subiektywne dywagacje. Stawiam jednak, że to raczej klasztor ulokowany w większym i silniejszym gospodarczo Poznaniu takie usługi mógł śmielej niż Obrzycko oferować.

Czas ich prosperity i popularności joannitów przypada na okres za rządów królów Władysława IV-go oraz Jana III Sobieskiego. Szczególnie ci królowie bowiem darzyli ich ogromnymi względami.

Zatem w okresie, kiedy zmieniała się na przestrzeni wieków koniunktura na poszczególne usługi świadczone m.in. w niewielkim i niezbyt mocnym gospodarczo miasteczku, to właśnie ono jako pierwsze przed większymi ośrodkami traciły na swojej atrakcyjności oraz pozycji na lokalnym rynku.

Gdy w 1793 roku Obrzycko dostało się pod zabór pruski, rozpoczął się także bardzo szybki proces upadania kwitającego dotąd rzemiosła, bowiem nasiliły się dostawy w ten rejon (na ziemie tego zaboru - przyp.) dużej ilości oraz różnorodności wyrobów, zarówno tańszych jaki i pewnie jakościowo lepszych m.in. z Saksonii oraz z innych obszarów Prus. Wielu rzemieślników przenosiło się zatem z konieczności do sąsiedniego zaboru rosyjskiego, znajdując tam lepsze warunki egzystencji.

Jeszcze jednak w 1888 roku na terenie Obrzycka istniała fabryka pończoch i przędzalnia.

W drugiej połowie XIX-go wieku wybrzeże Warty w mieście zostało przystosowane do przeładunku pływających łodzi o nośności do 200 ton. A więc nie wszystko jednak było stracone.

Krótko przed II wojną światową w tym jednym miasteczku było aż 7 masarni, 6 piekarni, 8 wyszynków, 1 hotel. 3 kręgielnie, 4 sale do zebrań oraz zabaw, których właścicielami byli Obrzyccanie, panowie Król, Strojny, Gomoński oraz Krawczak. Nazwiska te przewijają się do dzisiaj w opowiadaniach o realiach i ludziach w tym miasteczku, a nawet w naszej rodzinie.

Funkcjonowała także restauracja na tutejszym dworcu kolejowym, wszak od 1909 roku Obrzycko uzyskało połączenie kolejowe z Wronkami i



Obornikami. Długo jeszcze po wojnie pociąg relacji Wronki – Oborniki przez Obrzycko nazywano pieszczotliwie „Jaś-

kciem”, ponieważ był przyjazny dla dojeżdżających przez lata do szkół i do pracy. Maszynista potrafił niekiedy nawet poczekać na przejeździe kolejowym w Obrzycku, na tych co to „lekko” zaspali do szkoły, a przyjazny konduktor sprawdzał niekiedy „listę obecności” nim dał rano sygnał do odjazdu. Tak z nutką rozrzewnienia wspominali to jego dawni pasa-

żerowie. A i mi zdarzyło się kilkakrotnie jechać tym pociągiem z Obornik do Obrzycka, kiedy nad ranem przesiadałem się z innego pociągu, relacji Słupsk-Wrocław, więc potwierdzam, że tam tak było.

Poza tym – wracając do czasów z początku wieku - funkcjonowały w mieście nadal młyn parowy i tartak, który znajdował się na terenie późniejszej działającej w tym miejscu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. To w tamtym miejscu tak bardzo zauroczył mnie budynek starego spichlerza.

Jako ciekawostkę warto podać, że znacznie później, bo w 1915 roku (po ucieczce stąd Niemców w wyniku pierwszych działań I-szej wojny światowej – przyp.) w obrzyckim tartaku budowano okresowo nawet łodzie. Były one później splawione Wartą do Odry i służyły m.in. do przeprowiania żołnierzy podczas tzw. ofensywy kwietniowej w czasie przywołanej chwilę wcześniej owej I-szej wojny światowej.

Takie Obrzycko poznałem

Kiedy byłem w tej miejscowości (tak naprawdę pierwszy raz, nie licząc oczywiście tego krótkiego pobytu wojskowo - służbowego) miałem możliwość poznać Obrzycko nieco dokładniej. Przyczym, często słyszy się, że w każdej sytuacji najważniejsze bywa pierwsze wrażenie.

Tak było i tym razem, z tą jednak różnicą, że owo pierwsze wrażenie (w 1979 roku – przyp.) wypadło naprawdę na korzyść tego miasteczka. Powtórzę raz jeszcze - „miasteczka”, bo wyglądało ono już na pierwszy rzut oka, może nie tyle okazale co uroczo, a już na pewno „miastowo”.

Kiedy więc pierwszy raz zbliżałem się do domu rodzinnego – w tamtym momencie jeszcze – mojej dziewczyny Ewy, zauroczyła mnie w narożniku tej niewielkiej, chociaż przecież piętrowej chatki, okazałych rozmiarów uliczna lampa (w pierwotnej wersji) gazowa (na rysunku obok. Źródło; Głos Wielkopolski).



Już ten jeden detal zaświadczył w mojej podświadomości o „miejskości” Obrzycka, a ja w tym momencie przez Obrzycko byłem już „kupiony”.

To pewnie jest trochę zabawne, ale właśnie było to moje najbardziej pierwsze spośród pierwszych spostrzeżeń.

Barokowy ratusz , „kocie łby” i szachulec

Ponieważ lubię – o czym wspomniałem na wstępie - „grzebać się” amatorsko w historii, dostrzegłem jego interesująca bryłę, której siedemnastowieczny dach pokryty jest współczesną dachówką, co wyraźnie zakłócało moje poczucie wiarygodności historycznej tego zabytku, wszak powinien być przykryty gontem polskim dębowym, tak jak opisują to kroniki miejskie z 1757 roku, kiedy to po raz pierwszy wzmiankowano w dokumentach (inwentaryzacji miasta przeprowadzonej właśnie w tamtym roku – przyp.) o jego w tym miejscu istnieniu.



Barokowy ratusz miejski w Opatowie (fot. Internet)

Ratusz – co również zauważyłem już wcześniej - stał wówczas po środku placu targowego (pełniącego również w swojej części, od strony hotelu i kawiarni rolę parkingu, a w dni targowe placu handlowego „z wozu” lub prowizorycznych straganów) wybrukowanego w całości otoczkami bazaltowymi oraz granitowymi, jakich pełno jeszcze jest na okolicznych polach.



Rynek obrzycki na fotografii z końca lat 70-tych ubiegłego wieku [po prawej najwyższy budynek, w którym mieszkał dr Kruppik.] Rynek wybrukowany bazaltowymi otoczkami polnymi. (fot. Internet)

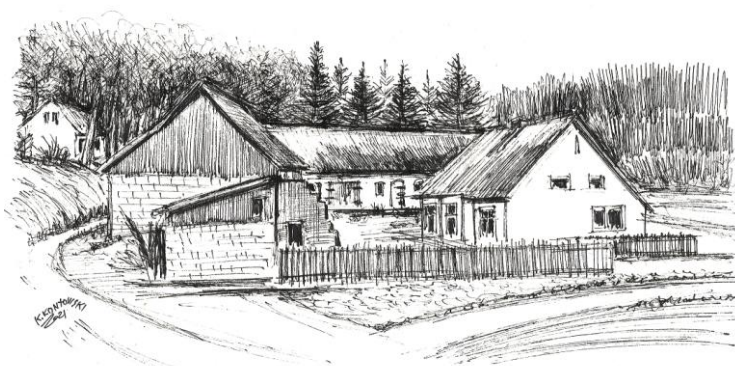
Była to ważna wskazówka dla chcącego poznać dawną oraz najnowszą historię miejscowości i zachodzące w niej procesy (także demograficzne). Otóż taki sposób budowania dróg był wyróżnikiem ludzi pragmatycznych.

Na przykład w Państwie Pruskim, rolnicy zbierający na swoich polach kamienie, które „wyrzucała” na powierzchnię ziemia, utwardzali nimi trakty i drogi dojazdowe do swoich posesji oraz wewnętrzne



podwórka. W ten sposób spłacali m.in. w naturze podatki rolne oraz inne opłaty miejscowe.

Warto w tym miejscu zauważyć, iż np. charakterystyczne zachodniopomorskie zagrody rolników przypominały czworoboczne „szachulcowe fortece” z bramą wjazdową w stodole na froncie kompleksu, po prawej i po lewej stronie stodoły bramnej lokowano budynki inwentarskie (ze względów higienicznych i pragmatycznych, od fundamentów do połowy były te budynki murowane z kamienia lub cegły), a naprzeciwko stodoły ze wspomnianą bramą wjazdową budowano dom mieszkalny dla gospodarzy.



Zabudowania gospodarcze w obrębie „Krainy w kratę” na rysunku Konstantego Kontowskiego.

Po środku wybrukowanego otoczekami podwórka w obejściu było obniżenie terenu, które

pełniło rolę silosu na obornik lub miejsca na kiszonkę dla krów. Pominąwszy nieprzyjemny dla mieszcucha zapach, to „gnojowniki” te wraz z zawartością obornika podnosiły także o kilka nawet stopni ciepłotę podwórka. Z korzyścią oczywiście dla zwierząt gospodarskich.

Dopiero za domem mieszkalnym był warzywniak oraz/lub niewielki sad, osłaniający jednocześnie zabudowania.

Wiele takich domostw spotykano także m.in. w północnej części Wielkopolski. Jednak zbyt daleko idącym wnioskiem byłoby stwierdzenie, że jest to bezpośredni wpływ lub wzorowanie się na rozwiązaniach pruskich.

Piszę o tym tylko dlatego, że poziom zużycia tego podkładu z polnych otoczek (będących reliktem polodowcowym) daje wyobrażenie kiedy ten obrzycki rynek wybrukowano, wszak wcześniej było to jedynie ziemne „klepisko”, często w czasie deszczu rozmokłe, rozjeżdżone konnymi wozami i nie do przebycia suchą nogą.

Dopiero po wielu latach od mojej pierwszej wizyty w Obrzycku władze miasta (bo – przypomnę - od 1990 roku miasteczko ponownie jest miastem) wybrukowało ów rynek miejski estetycznym strobrukiem granitowo-bazaltowym, urządziło na tym placu dookoła ratusza przestronny parking i miasto w ten sposób wyraźnie zyskało na estetyce.

Ale pewnie w tym momencie za bardzo odbiegłem od tematu zasadniczego.

Wracając jednak do mojego „punktu wyjścia” czyli do ratusza. Wprawdzie po pobudowanym w

połowie XVII-stego wieku ratuszu, spalonym jednak (podobnie jak większość tego kwartału miasteczka) w 1739 roku nie ma już śladu, to jednak w tym samym miejscu, po nieomal dwudziestu latach, w 1757 roku wybudowano nowy, tym razem już mury. Jest on budynkiem trójkondygnacyjnym z użytkowym poddaszem, wzniesionym na planie kwadratu. Przykrywa go dwuspadowy dach kryty pierwotnie gontem. W zachodnią ścianę wtopiona jest czworoboczna wieża, nakryta czterospadowym daszkiem z drewnianą latarnią zwieńczoną iglicą z chorągiewką. Elewacje nadal są na szczęście nie otynkowane.

Owa barokowa budowla z drugiej połowy XVIII-tego wieku od początku pełniła funkcję ratusza miejskiego. W późniejszych latach swojego istnienia jednak (za sprawą Prusaków w połowie XIX-tego wieku, a więc po około stu latach od momentu jego budowy) była po prostu spichlerzem, pokrytym wspomnianym gontem. Na parterze – jak podają dostępne mi źródła – mieściły się wówczas biura właścicieli Obrzycka i kilku jeszcze innych majątków w okolicy, Karola Raczyńskiego, a później także – przypomnę raz jeszcze - z pruskiego nadania hrabiego Zygmunta Raczyńskiego.

Być może to właśnie determinowało ten obiekt architektonicznie. Jest on surowy w formie, bez szczególnych zdobień oraz zawijasów, które przecież barok dopuszczał i to wcale nie w ograniczonym zakresie. Wszak barok w architekturze to m.in. bogate oraz zróżnicowane bryły, przestrzenne kształtowanie elewacji, kontrasty form oraz efektów

świeatnych, monumentalne formy, nietypowe, a nawet wręcz skomplikowane rzuty.

W mojej ocenie architektura tego ratusza bliższa jest więc raczej stylowi późnego baroku, który datowany jest na stulecie pomiędzy 1680-tym i 1780-tym rokiem, ale to szczegół.

Budowla zyskała wiele na wartości, kiedy Atanazy Raczyński sprowadził z Portugalii w 1843 roku (był w tym czasie tam ambasadorem Prus w Lizbonie, jako przedstawiciel zniemczonej wówczas od niedawna gałęzi rodu Raczyńskich) renesansowe obramienie okienne z 1527 roku pochodzące z kościoła w Batahli, a następnie umieścił je na ścianie w(tedy jeszcze) ratusza. To poprawiło walory wizualne oraz ubogaciło obiekt.



Ozdobne okno z herbem oraz „portugalskim” obramieniem umieszczone w elewacji obrzyckiego Ratusza (fot. Internet)

Wcześniej bowiem Raczyński każdą wolną chwilę w Portugalii poświęcał na wędrowki po kraju, zwiedzał stare miasta, zabytki architektury, kościoły,

podziwiał zbiory sztuki. Tak trafił m.in. do klasztoru w Batahla w południowej Portugalii, który uznawany jest za jeden z najdoskonalszych przykładów architektury i sztuki gotyku w tym kraju (w 1983 roku klasztor został wpisany na listę światowego dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego UNESCO). I to właśnie stamtąd Atanazy Raczyński przywiózł do Obrzycka piękne marmurowe obramienie okna datowane – o czym wspomniałem - na 1527 rok.

Na zachodniej elewacji budowli znajduje się także przepiękny kartusz z piaskowca z 1857 roku, z herbem Nałęcz-Raczyńskich, a umieszczona tam data (1825 rok), przypomina mieszkańcom czas ustanowienia ordynacji obrzyckiej tego rodu.

To było ważne dla miasta wydarzenie, dlatego braci Edwarda oraz Atanazego Raczyńskich nazywa się często w historii Medyceuszami Wielkopolski, a historia Obrzycka potwierdza słuszność tego określenia.



Kartusz z herbem Nałęcz Raczyńskich, wmurowany w elewację obrzyckiego Ratusza (fot. Internet)

Bardzo interesującym elementem ozdobnym elewacji Ratusza jest obramienie dawnego wyjścia w murze na balkon. W taki sposób Konstanty Kontowski wydobył w rysunku jeden z mało zauważalnych dla niewprawnego oka obserwatorów elementów.



Fragmeny obramienia otworu w elewacji obrzyckiego Ratusza
w rysunku Konstantego Kontowskiego.

Ostatnim właścicielem miasta i okolicznych majątków był – o czym już wspomniałem - Zygmunt Raczyński. Na skutek różnych perypetii rodzinnych ordynacja stała się w drugiej połowie XIX-go wieku własnością kurlandzkiej - ziemczonej już wówczas - linii Raczyńskich.

Obecny widok Ratusza, jaki zapamiętałem od pierwszego na jego bryłę spojrzenia, zawdzięczamy w pierwszej kolejności remontowi z 1960 roku, który nadał bryle aktualną sylwetkę i walory, a przede wszystkim przywrócił jemu - po adaptacji i przebudowie wewnątrz - pierwotną funkcję. Nim jednak pierwszy raz (w 1973 roku - przyp.) go zobaczyłem z bliska, wcześniej ratusz raz jeszcze poddany został kapitalnemu remontowi, w trakcie którego to wymieniono na „nowoczesne” pokrycie dachu. Gont zastąpiono ostatecznie czerwoną dachówką ceramiczną, zmieniając w ten sposób znacząco styl budynku. Jednak przeprowadzona konserwacja ceglanych elewacji Ratusza oraz przemurowanie gzymsów poprawiło estetykę tej bryły, ale mimo wszystko ten „ceramiczny” dach zmienia jego walory jako budowli historycznej. I przy tym będę się upierał.

Pięknie więc ów Ratusz wyglądał, kiedy w latach bodaj dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku „zagrał” w spektaklu Teatru Telewizji, kręconym m.in. na obrzyckim rynku i właśnie w Ratuszu. Plac przed nim bardzo wiele zyskał, ale nie tylko on mnie obecnie robi na mnie wrażenie, wszak podobają mi się także melodie „wydzwaniane” przez umieszczone na ratuszowej wieży mechaniczne

carillony. Szczególnie w okresie Bożego Narodzenia.

W tym miejscu pozwolę sobie na odrobinę prywaty, bowiem z obrzyckim Ratuszem wiąże mnie osobiście jedno, ale jakże „wiekopomne” wspomnienie, czy może raczej wydarzenie w moim życiu. Otóż w ostatnim dniu lata 1979 roku wziąłem tam pierwszy ślub z moją pierwszą żoną. To nie znaczy, że później miałem jakąś drugą, ale Ewa jest tą pierwszą i jedyną (jak – zgodnie z moimi planami - pokazało mi życie), a drugi ślub to był ten w obrzyckim kościele.

Pamiętam więc te strome schody, po których szliśmy do znajdującego się wówczas jeszcze w Ratuszu Urzędu Stanu Cywilnego. Prawdę mówiąc nie wiele więcej z tego wydarzenia pamiętam bo byłem tak bardzo podekscytowany. Była to sytuacja niecodzienna dla pobocznych obserwatorów z Obrzycka, bo w trakcie uroczystości tylko panna młoda ubrana była „na białą”, a ja oraz dwaj nasi świadkowie wystąpiliśmy na galowo (sznury, kordziki oficerskie i białe czapki i rękawiczki) w mundurach marynarskich. W kościele, w czasie uroczystości ślubnej też było wesoło, kiedy pojawiliśmy się tam w marynarskich mundurach, ksiądz Dolczewski ... Ale to już historia na zupełnie inną opowieść.

Trójka rodzeństwo mojej żony - wiele lat później - „cywilnie ślubowało” już w nowym, zupełnie nie osadzonym historycznie w dziejach miasta biurowcu przy ul. Marcinkowskiego.

Zdecydowanie bardziej utkwił mi w pamięci – o czym wspomniałem ledwie chwilę wcześniej - drugi nasz tego dnia ślub, tym razem kościelny w miejscowej świątyni pod wezwaniem Świętych apostołów Piotra i Pawła. Tego ślubu udzielał nam – o czym również wspomniałem - niezapomniany, wieloletni proboszcz w Obrzycku, ksiądz Edmund Dolczewski.

O tym proboszczu może jednak więcej w kontekście samego kościoła.

Spacerując po obrzyckiej „starówce”

Jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie (nazwijmy to wyraźnie na wyrost) „starówka”, wówczas jeszcze wioski Obrzycko. Ujęły mnie te ulokowane, czy może raczej uroczo zatopione w głębi parterowych kondygnacji wielu domów małe sklepiki, afiliowane (wskazywane) nie tyle po oferowanym klientom asortymencie, co po nazwiskach ich właścicieli. Tak właściwie to od pierwszej chwili postrzegałem tę sytuację jako element swoistego „kodu” miejskiego, jakim od lat posługiwali się między sobą mieszkańcy tej miejscowości.

Któż bowiem z przybyszów, licznie odwiedzających to miasteczko, szczególnie w okresie letnio-jesiennego grzybobrania w pobliskich lasach nadwarciańskich, mógł od pierwszej chwili wiedzieć gdzie to jest, kiedy zapytany o możliwość kupienia jakichś produktów żywnościowych (lub jakichś słodkości i gemyli) w drodze powrotnej np. z grzybobrania,

napotkany „tubylec” informował, że w pobliżu rynku to najlepiej zrobić zakupy w sklepie u Kasprzaka, później także u Podolskiego.



Uliczka w Obrzycku jaką zobaczyłem pierwszy raz wiosną 1979 roku. Po prawej fragment domu narożnego przy ulicy Kruppika i Staszica, a po lewej (za dawnym kinem) ciąg sklepików. (Źródło; Internet).

Kawałek dalej, „u Stefy” (tak niekiedy w lokalnym slangu określano to miejsce, bo sprzedawała tam m.in. słynna pani Stefania Żelazko) mięso oraz wędliny, oczywiście kiedy w dobie kartek na wszystko w danym momencie był towar „na sklepie”. Tanie mięso można było kupić także u pana Prędkiego w „Taniej jatce”, w narożniku północnym Rynku itd.

Bo to, że przepyszny chleb oraz bułki można nabyć w piekarni w Rynku, do której Obrzycanie, a w tej liczbie moja teściowa (albo moja przyszła żona lub któryś z jej młodszych braci) nosiła surowe ciasta do upieczenia, to każdy mógł sam się domyśleć, bo cudowny zapach świeżego chleba oraz innego pieczywa (np. sznek z glancem) był wyczuwalny z bardzo daleka, a już na pewno w obrębie Rynku. Więc przybysze mieli chociaż o tyle łatwiej. Warto wspomnieć, że tam za ladą stała kiedyś Kazimiera Król, a prywatnie to starsza siostra mojej teściowej.

Dla równowagi, po przekątnej Rynku (przy obecnej ulicy Kruppika, chociaż jeszcze w obrębie placu) - tam gdzie później był sklep rybny (ten sklepik jeszcze pamiętam) - funkcjonował sklep nabiałowy, zwany potocznie chociaż nieadekwatnie do funkcji „mleczarnią” (ale to wiem tylko z opowiadania mojej żony). To, że sprzedawano tam najlepsze na świecie mleko oraz gęstą [taką, że łyżeczka stała w niej sztywno] śmietanę, to jedno. Najważniejszym było jednak to, że tam również przez pewien czas ekspedientką była tam kiedyś – mile przeze mnie i innych Obrzyczan wspominana - moja ulubiona ciocia Kazia Król.

Nie wdając się w szczegóły powiem tylko tyle, że ludzie mieli z nią naprawdę dobrze. A to, że była nad wyraz empatyczna i przyjazna ludziom, niekiedy dużo nerwów ją kosztowało. Ale ci co wiedzą o czym mówię, na pewno to potwierdzą, bo wielu jeszcze te momenty pamięta.

Mało kto jednak wiedział, że mieszkańcy Obrzycka w niektóre dni tygodnia korzystali w tamtym czasie z łaźni miejskiej u Państwa Jóźwiaków, na zapleczu rynku w pobliżu piekarni.

Strudżonym turystom i grzybiarzom - do odświeżenia się naprędce - pozostawała już zazwyczaj tylko miejska, stylowa pompa wody artezyjskiej, umiejscowiona w narożniku tego placu (róg Rynku i Kruppika – przyp.), naprzeciwko nie istniejącej już dzisiaj apteki (Na fotografii poniżej, podobna pompa jaką do dzisiaj jeszcze widuję na jednej z darłowskich ulic).



Można by śmiało rzec, że w obrębie Rynku (co było naturalną koleją rzeczy w tego typu miejscowościach od czasów śred-niowiecza) ogniskowało się także rzemiosło i usługi.

W tym miejscu na przykład, przy prostopadłej do domu moich teściów pierzei Rynku działała „szwalnia”, w której pracowała wraz z kilkoma paniami) moja teściowa.

Oczywiście z daleka zauważalny był kiosk „Obiadka” (no chyba, że z przystanku autobusowego komuś ratusz go zasłaniał), gdzie można było – jak to w kioskach Ruchu – kupić prawie wszystko.

Ale do sklepiku p. Gołębiewskiej „przy figurze” oraz sąsiadujących z nią innych sklepów to

trzeba było już kawalek podejść. W tamtym czasie lokowane były one od frontu, „nowoczesnego” jak na tamte czasy pawilonu handlowego Gminnej Spółdzielni.



Figura maryjna na placu, przy którym jeszcze kilka lat temu funkcjonował „nowoczesny” handlowy pawilon GS na archiwalnej fotografii.

Przy kawiarni swój postój miała też pierwsza w Obrzycku taksówka p. Jóźwiaka, czy może raczej wujka Staszka (wszak to była rodzina mojej żony, skoligacona z babcią Joanną Kozłowską, po mężu Schmidt). Dopiero później na postoju stawał przez pewien czas także mój (młodszy od Ewy i Włodka) szwagier Jurek. A więc „to miejsce” w jakimś sensie (ale tylko przez pewien czas) pozostało w rodzinie.

No i weź „nietutejszy” przybyszu się w tym wszystkim (w lokalnym kodzie porozumiewania się wewnątrzmięjskiego – przyp.) połap. Zwłaszcza kiedy jesteś tutaj pierwszy raz.

Ale poza utrudnieniami miało to także swój urok oraz znamionowało, kto „swój” a kto „przybysz”.

W mojej ocenie było to bardzo ciekawe miejsce. Jak mówię, tutaj przywoływały się same obrazki z małych miasteczek, jakie można jeszcze było wówczas spotkać już tylko na Podlasiu lub w innej części wschodnich rubieży Polski.

Daleki wprowadzie jestem od porównywania tamtych widoków z Obrzycka do miasteczek żydowskich, lecz nie pasowały mi wówczas na wskroś socrealistyczne oznaczenia owych małych sklepików i warsztatów usługowych. Poza swoją szarością i monotonią sztyldów, nie przystawały do dziewiętnastowiecznej architektury budyneczków zachowanych z poprzedniej epoki.

Rozumiem jednak zarówno obowiązujące w tamtym czasie trendy ogólne jak i deficyty w zakresie „sztuki ulicy”. Owa „amatorszczyzna” podyktowana była przecież także koniecznością powojennych zmian, by nie powiedzieć; potrzeby zacierania śladów przeszłości w stylu *ad hoc*.

Te, jak to w Polsce bywało najczęściej, nad wyraz trwałe i wręcz wiekowe prowizorki zastąpiły szyldy sklepowe, tak bardzo wpisane w dawny pejzaż miasteczka, tyle że tamte były poniemieckie lub pożydowskie, więc trzeba było je pewnie „czymś” zastąpić, by „zatrzeć” ślady.

Brak wyczulonego na piękno i estetykę architekta miejskiego (zwłaszcza, że do 1990 roku Obrzycko było wioską) wyraźnie był tutaj zauważalny.

Wąskie, ale za to jakie urokliwe uliczki

Na pierwszy spacer po miasteczku (bo tak woląłem o Obrzycku myśleć, z uwagi na to co widziałem) moja dziewczyna zabrała mnie do – jakże popularnego wówczas w wielu miastach i miasteczkach czegoś na wzór „Ogrodu jordanowskiego”.

Z Rynku, przy aptece skręciliśmy w lewo, w małą uliczkę Kilińskiego, a następnie w uliczkę Kuźnice, prowadząca – jak mi się wówczas wydawało – na obrzeża miejscowości. Później jeszcze tylko łagodny skręt w prawo i już byliśmy na miejscu.

Uwielbiam wręcz spacerować po takich urokliwych zakątkach starych miasteczek.



Stara uliczka małego miasteczka w rysunku Konstantego Kontowskiego

Okazało się także tym razem, że to było naprawdę ładne miejsce, w którym obok nielicznych „przrządów do bawienia się”, pomiędzy huśtawkami rośło wiele wiosennych (bo to taka była pora roku), kolorowych kwiatków, a w tle, za opadającym łagodnie zboczem rysowała się pofałdowana dolina. Sama panorama miejscowości, z wyłaniającą się pięknie zza gęstwiny drzew wieżą kościelną. Dopiero w oddali majaczyły zabudowania jakby innej miejscowości. Ewa ze znanstwem wyjaśniła mi, że to nadal jest Obrzycko, a to co widzę w oddali nazywa się zwyczajowo „Berlinkiem”. Postanowiłem to sprawdzić i zrozumieć w dalszej części tej wycieczki lub w czasie kolejnego spaceru.



Fragment ulicy Dworcowej w Obrzycku, widok obecny. (fot. z archiwum autora)

W drodze powrotnej, kiedy znaleźliśmy się ponownie na wąskiej uliczce Kuźnice, którą tutaj wcześniej doszliśmy. Tym razem jednak skręciliśmy w prawo. Nasza trasa wiodła jakby po łuku, aż wyszliśmy w pobliżu jakiegoś spichlerza przy ulicy Dworcowej.

Dalej wracaliśmy w dół niezbyt szeroką, ruchliwą ową uliczką Dworcową, którą od strony Szamotuł do miasteczka już dzień wcześniej autobusem obsługiwaną przez KSK przemierzaliśmy. Przy nieczynnym dzisiaj kinie (w tym narożniku z księgarnią) ponownie skręciliśmy w lewo, a z tamtego miejsca widać już było boczną ścianę domu rodzinnego mojej żony przy Rynku.

To był fajny pierwszy spacer, a to miasteczko po tej przechadzce mnie jeszcze bardziej zaintrygowało. Dostrzegłem nie tylko jego niewątpliwy urok, ale także – o czym już wcześniej wielokrotnie wspominałem – przeciekawą architekturę, a przede wszystkim specyficzny klimat, porównywalny do małych żydowskich miasteczek w Kieleckiem czy na Podlasiu, których już dzisiaj praktycznie nie ma.

Na taśmie filmowej podobna architektura utrwalona została jeszcze w czasie kręcenia w podlaskim Tykocinie prześmiesznej komedii obyczajowej „U Pana Boga za piecem” i w kolejnej części.

W mojej rodzinnej miejscowości nad morzem także takie „obrazki” w bardzo wczesnej młodości widywałem, więc miałem i mam do tego „krajobrazu” jakże osobisty stosunek.

Wyjątkowy most drewniany

A propos mojego zaintrygowania. Bardzo chciałem z bliska zobaczyć i organoleptycznie poznać słynny most na Warcie, bo jego klekoczące belki i podkłady (jakby chciały się za chwilę oderwać od przęsła i swobodnie zanurzyć w rzece), kiedy przejeżdżał po nim chociażby nawet lekki „komarek” [były wówczas jeszcze takie „motorynki”] przy pierwszym z nimi spotkaniu, a i kilka razy jeszcze później – o czym wspomniałem – budziły jakiś niepokój, a nawet trwogę.



Stary, drewniany most w Obrzycku (źródło; Internet)

Moja dziewczyna uspakajała mnie wówczas, że to ma także swoje dobre strony, bo kiedy z kierunku Wroniek czy Czarnkowa nadjeżdża autobus KSK lub PKS (i takie firmy przewozowe kiedyś były tutaj popularne) to na tyle wcześniej go było słysać, że mieszkający w Rynku pasażerowie mogli spokojnie wyjść z własnego domu i zdążyć jeszcze zająć w owym autobusie miejsce siedzące, bez konieczności wcześniejszego oczekiwania na deszczu i/lub mrozie, na odkrytym przystanku pod chmurką (nim wybudowano murowane pomieszczenie poczekalni owego przystanku).

Kiedy jednak ci, którzy chcieli odjechać w kierunku odwrotnym (np. autobusem z Szamotuł do Czarnkowa czy Piły) słyszeli klekoczące belki mostu oznaczało to, że się właśnie spóźnili.



Most zbudowany przez Niemców (jak się w konsekwencji okazało, tylko na czas wojny) w miejsce zburzonego przez polskich saperów 1-go września 1939 roku. Fotografia archiwalna.

Nie mniej uroczym prezentował się jego poprzednik (zburzony w pierwszych godzinach wojny) na rzece Warta w Obrzycku. Miał on kiedyś w swoim ciągu element mostu zwodzonego (środkowy fragment mostu, podnoszony kiedy potrzebowały pod nim przepłynąć łodzie i statki z masztami wystającymi ponad poziom górnych części przęseł mostu), jednak pozostał już tylko uwieczniony na starych sztychach i archiwalnych fotografiach.

Poszliśmy więc wzdłuż pierzei placu, najpierw obok wspomnianej piekarni, a później po lewej stronie minęliśmy jeszcze figurę maryjną i wspomniany pawilon handlowy, zbudowany w klasycznym stylu „socreal”.



Widok na starą restaurację, a przed nią skręt w kierunku mostu (fot. archiwalna pocztówka)

Przy restauracji z ciemnej czerwonej cegły, skręciliśmy w prawo. Wąska uliczka w rozwidleniu ulicy Kościuszki, ograniczona urokliwymi, relatywnie wysokimi murowanymi budynkami po obu stronach, zawiodła nas do drewnianego, dzisiaj już nieistniejącego mostu.

Ewa wspominała wówczas na środku tego przybytku, że bodaj jako dwunastolatkę, w drodze powrotnej z kolonii letnich, przeprawiano ich w tym miejscu przez rzekę kursującym po Warcie promem, bo most był dopiero w tamtym momencie dopiero w budowie.

W tym miejscu bowiem warto wyjaśnić, że w czasie wojny – o czym chwilę wcześniej wspominałem - Niemcy, relatywnie krótko po tym jak poprzedni obiekt wysadzili w powietrze polscy saperzy w pierwszym dniu września 1939 roku, odbudowali zniszczony most na Warcie. Jednak wycofując się z Obrzycka ponownie (w nocy z 21/22 stycznia 1945 roku – przyp.) ten zbudowany przez siebie most ponownie zniszczyli.

Bardzo ważną w kontekście starego, drewnianego mostu była dla mnie także informacja o tym, że na kamiennych ostrogach tego powojennego przybytku bardzo lubił siadywać dziadek Ewy, Leon Schmidt (o nim szerzej za chwilę) w celach wędkarskich.

Poznałem wcześniej (na krótko przed jego śmiercią we wrześniu 1979 roku, na trzy tygodnie przed naszym ślubem) dziadka Leona i polubiłem go, więc każda o nim opowieść czy chociaż tylko mała wzmianka była istotną.

Babcia Joanna oprawiała te złowione przez dziadka ryby cierpliwie, podobnie jak cierpliwie znosiła długie godziny nieobecności męża, kiedy ten o chłodzie czy w upalne dni przesiadywał wraz z zaprzyjaźnionymi wędkarzami na tych kamieniach przy moście i z lubością oddawał się swojej pasji emeryta.

Co ciekawe, Warta w tamtym czasie była na tyle czystą i przyjazną rzeką dla środowiska, że pływały w niej i czasami dawały się złowić nawet lubiące czyste środowisko raki rzeczne.

W pobliżu mostu, w czystej wodzie Warty kiedyś (zanim woda bieżąca pojawiła się w kranach obrzyckich gospodarstw domowych), oczywiście w ciepłe dni [najchętniej w soboty] na oba brzegi tej rzeki udawali się mieszkańcy wioski Obrzycko, wyposażeni w ręczniki oraz przyjazne środowisku mydła z gatunku „Jeleń” w celu zażycia kąpeli tzw. higienicznej. Tego z autopsji oczywiście nie pamiętam, lecz polegam na pamięci oraz wspomnieniach rodzinnych, a te trudno jest przecież w jakiegokolwiek części negować.

Oczywiście ludzie kąpali się w Warcie także rekreacyjnie, pod czujnym okiem ratowników wodnych. Jednym z takich „pływających medyków” był swego czasu na obrzyckim kąpielisku – niezapomniany tutaj z racji swojego rozrywkowego charakteru - Stefan. Prywatnie najmłodszy syn cioci Kazi i bliski kuzyn mojej żony. Inna sprawa, że Stefan nadal i ze swadą, przy każdej okazji zabawia towarzystwo dowcipem i zabawną „gadką” z wielkopolską gwarą.

Kiedy tylko zrobiło się ciepło, na Wartę w rejonie Obrzycka wypływały kajaki. To mój teść, Leonard uwielbiał wręcz ten sport i często latem go uprawiał.

Po takim wprowadzeniu polubiłem ten most na tyle, że zacząłem zwracać na niego uwagę w różnych życiowych sytuacjach. Jedną z takich okazji były na przykład przeloty samolotem AN2 z lotniska w Darłowie do Poznania.

Kiedy bowiem pracowałem w jednostce wojskowej Marynarki Wojennej, kilkakrotnie miałem okazję „zabrać się” służbowo jako pasażer z mojej „firmy” na wojskowe lotnisko [z bramą wjazdową od strony ulicy Dąbrowskiego] w Poznaniu. Już w czasie pierwszego takiego przelotu zorientowałem się, że w trakcie wytyczania trasy lotu, jednym z istotnych w terenie punktów orientacyjnych (alternatywne rozpoznanie wzrokowe trasy przelotu – przyp.) dla pilotów jest właśnie mój ulubiony, drewniany most w Obrzycku.

Dzisiaj w pobliżu tego miejsca stoi oczywiście nowy (od 1992 roku – przyp.), stalowy i solidny most drogowy jako element wewnętrznej obwodnicy Obrzycka. W ciągu tego traktu pojawiły się także nawet pierwsze w mieście światła drogowe, dzięki którym możliwe jest bezpieczne przejście w poprzek owej wewnętrznej obwodnicy miejscowości, w drodze z Rynku ulicą Kościelną do kościoła i dalej na cmentarz. Ale o nich za chwilę.

Kompleks zamkowy na wzniesieniu nad Wartą

Dowiedziałem się przy okazji, że znajdująca się tuż za mostem Zielonagóra to nie tylko jeden wyraz ale także, że Obrzycanie w swojej podświadomości traktują ją nadal jako część Obrzycka, a wyłaniający się ponad koronami drzew pałac Raczyńskich to jest „ich” zabytek miejski.



Pałac na Zielonejgórze (fot. Internet)

Kompleks owego pałacu z eklektycznymi elementami tzw. kostiumu francuskiego oraz neobarokowymi elewacjami oraz środkowym ryzalitem i z neobarokowym wystrojem, rozbudowany został w latach 1856-57 przez Zygmunta Raczyńskiego, jednak pałac był wówczas własnością jego rodziny.

Przy pałacu znajdują się także, pobudowane w latach 1870-1880, oficyny i służbówka (dom ich kierowcy) oraz bażanciarnia, która z kolei powstała dopiero w 1910 roku.

Pałacowe budynki gospodarcze – jak przekonują źródła - zostały wybudowane w tej samej stylistyce co bażanciarnia i dom kierowcy, nawiązującej do form architektury szwajcarskiej, gdzie górną partię ścian wykonano w konstrukcji ryglowej oraz zastosowano drewnianą dekorację szczytów i okapów dachów. Wszystkie budynki usytuowane zostały w malowniczo położonym parku krajobrazowym na wysokim północnym brzegu Warty.

Chociaż kompleks pałacowy w Zielonogórze, na przedmieściu Obrzycka, zbudowany został w połowie XIX-tego wieku to jednak jego wcześniejsza historia zawsze związana była z rodzinami będącymi właścicielami miasta.

Jego „poprzednik” w tym miejscu, na przełomie XIV-tego i XV-tego wieku, należał do rodu Nałęczów Obrzyckich. Od około 1638 roku był własnością Krzysztofa Radziwiłła (tego samego, który to był inicjatorem ponownego nadania miastu praw miejskich – przyp.)

W pierwszych latach XVIII-tego wieku (mniej więcej od 1720 roku) płac był własnością rodziny Radomickich (precyzyjniej Władysława Radomickiego), a już w połowie wieku (około 1742 roku obiekt, podobnie jak całe dominium obrzyckie, stało się własnością Leona Raczyńskiego. Z tamtego pałacu nie pozostało jednak wiele śladów, co zmusiło Raczyńskich do budowy nowego pałacu.

Jeszcze na początku XIX wieku istniał na Zielonej-górze, wybudowany przez Augusta Kamprada, mały dwór.



Panorama pałacu Raczyńskich na Zielonogórze z drona.
(Źródło; fot. Internet)

Pisząc o Zielonogórze jako o części miasta Obrzycko należy wziąć pod uwagę bardzo istotny fakt, że zakupiona ona została 1824 roku przez Atanazego Raczyńskiego, by w następstwie stać się integralną częścią jego majątku rodzowego. Kiedy więc 1825 roku – przypomnę raz jeszcze – ustanowiono obrzycką ordynację Raczyńskich, z siedzibą w Gaju Małym, ów mały dwór na Zielonogórze pełnił rolę jedynie pałacu myśliwskiego. Jednak cała ta ziemia i dobra rodzinne traktowane były jako jedna całość, a zielonogórskie pałace ściśle

związane są z historią Obrzycką, co w podświadomości Obrzyczan pozostaje do dzisiaj, pomimo kolejnych zmian przynależności administracyjnych w ostatnich latach.

Wracając jednak do meritum sprawy. Przeprowadzono w 1950 roku przebudowa wnętrza oficyny wschodniej i zachodniej oraz pralni zmieniając ich przeznaczenie, czy może raczej należałoby powiedzieć; funkcję na mieszkalną i biurową.

W latach 1956-1957 miał miejsce remont zespołu - dachy, kominy, częściowa wymiana stolarki, a w 1975 roku wyremontowano także wieżę pałacową, zdecydowanie poprawiając stan techniczny pałacu.

Od 1989 roku zespół stanowi własność Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Co więcej w tym samym roku powstał w nim Dom Pracy Twórczej.

Trzymając się współczesnej chronologii należy dodać, że w latach 2007-2008 przeprowadzono kolejny kompleksowy remont pałacu oraz budynków gospodarczych, tak że dzisiaj jest co podziwiać.

Plac Lipowy i kościół ewangelicki

Kiedy udałem się na kolejny spacer po Obrzycku (jak zwykle punktem odniesienia oraz miejscem rozpoczęcia wycieczek był obrzycki Rynek), tym razem na wschód, po raz pierwszy szedłem ulicą Strzelecką, w kierunku Placu 1-go Maja (później oficjalnie przemianowanego na Plac Lipowy) i dalej wzdłuż Warty w kierunku Brączewa.



Nieczynny protestancki kościół w Obrzycku (fot. ze zbiorów autora)

Już po kilkuset metrach zostałem znowu zauroczony widokiem. Na tym czworobocznym placu, noszącym wówczas jeszcze nazwę 1-go Maja, zobaczyłem bowiem neobarokową bryłę, dawnego ewangelickiego zboru z samego początku ubiegłego wieku. Jak się później dowiedziałem, ów kościół pobudowany został w latach 1909 – 1911, według projektu pruskich architektów Schweizera z Dessau oraz Graffa.

Szczególnie zachwyciły mnie jego charakterystyczne elementy w postaci pięknych zdobień (a szczególnie portali i obramowań okiennych) oraz wysoka wieża z zegarem, nakryta blaszanym hełmem z chorągiewką. Szczyty wieńczą zaś kamienne wazy. Przy czym jedna z nich leżała już na ziemi.

Ten murowany, ceglano-kamienny protestancki kościół halowy, wyraźnie wpisany jest w plan obszernego prostokąta. Jego jednonawowe wnętrze zwieńczone jest interesującym sklepieniem kolebkowym. Nie dane mi było dokładnie obejrzeć ten obiekt od środka, bo jest już dzisiaj obiektem nieczynnym (wierni gromadzili się w nim prawdopodobnie tylko do 1945 roku), więc posiłkując się dostępną literaturą „w jego temacie”, dowiedziałem się, że tuż nad wejściem znajdował się chór z organami. To pozostawało w zgodzie z moją wiedzą na temat zborów protestanckich, więc nie była to informacja dla mnie odkrywczą.

Do czasów obecnych przetrwały także charakterystyczne dla zborów protestanckich, surowe w formie i prostocie drewniane empory (balkony).

Jedyna ponoć zachowana fotografia, przedstawiająca obiekt w okresie, gdy rzeczywiście pełnił on funkcje sakralne, ujawnia w jego wnętrzu istnienie kiedyś w środku zdobionego ołtarza, ambony oraz żyrandola. Nad ołtarzem widoczne jest naścienne malowidło ukazujące scenę ukrzyżowania Jezusa Chrystusa. Uwagę przykuwa wykonane z drewna sklepienie z elementami dekoracyjnymi.

Bardzo chętnie bym to przy jakiejś okazji zwiedził, ale boje się, że dzisiaj bym się bardzo rozczarował stanem zachowania, wszak od dziesięcioleci jest on już nie używany i popada w ruinę.

Zważywszy jednak na fakt, że po wojnie (po wspomnianym 1945 roku) w kościele zorganizowano m.in. spichlerz zbożowy. Być może to właśnie wtedy

z obiektu usunięto zabytkowy ołtarz oraz ambonę, pochodzące jeszcze z dawnego zboru.

Wcześniej bowiem, drewniany kościół ewangelicki znajdował się w północnej pierzei Rynku, naprzeciwko ratusza lecz został on rozebrany w roku 1912). Paradoksalnie szansą dla tego obiektu były podejmowane kiedyś próby uczynienia z tego dawnego budynku sakralnego obiektu krzywienia kultury. Do dawnego kościoła na Placu Lipowym w latach 80-tych i 90-tych dobudowano nawet od strony południowo-wschodniej budynek Obrzyckiego Ośrodka Kultury. Obecnie nie jest on użytkowany. Realizacji nie doczekała się też – wobec sprzeciwu władz gminy kościoła ewangelicko-augsburskiego w Poznaniu - koncepcja adaptacji dawnego zboru na salę widowiskową.

I tak oto, obiekt dalej niszczeje.

Pomimo pierwszych inwestycji oraz podjętych prac budowlanych projekt „utknął w miejscu”.

Na zespół tego kościoła ewangelickiego składała się również tzw. „pastorówka” (czyli dom dla pastora lub np. superintendenta, jak brzmi oficjalna nazwa niektórych urzędników w kościele protestanckim).

Powstała ona około 1870 roku, a zatem jeszcze nim w tym miejscu wybudowano ten zbor, a wcześniej służyła kościołowi luterańskiemu na Rynku.

Obecnie jest to budynek mieszkalny oznaczony numerem trzynastym na Placu Lipowym.

Ten fragment Obrzycka – jak dostrzegłem już w trakcie pierwszej mojej na nim wizyty - to nie tylko ewangelicki, niszczący zbor (bo tak powinno się

nazywać ów kościół z racji przynależności do wyznania – przyp.).



Na przeciwko tutejszej poczty odnalazłem obelisk upamiętniający ofiary II-giej wojny światowej (Fot. autora poniej) Na granitowym głazie umieszczona jest tablica

z odlana w metalu, a na niej tekst upamiętnienia.

Przy Placu Lipowym ulokowana jest także szkoła nosząca od 1967 roku imię bohaterskich Powstańców Wielkopolskich.

W tym pruskim budynku szkolnym, z czerwonej cegły palonej, co wpisuje się w charakterystyczny styl pruskich budynków użyteczności publicznej, już w maju 1919 roku uruchomiona została polska placówka oświatowa, a [jak podają źródła] jej pierwszymi nauczycielami byli Paweł Hannie, panowie Kruczek i Olejniczak oraz panie Lenartowska i Taranczewska.

Nieco później dołączyli do nich panie Wosicka oraz Wysocka i panowie Rudnicki, Jan Perz, Kawka, a także Stefan Kosicki. Już 1925 roku szkoła podniesiona została do rangi siedmioklasowej.

Po zawierusze wojennej, 12 lutego 1945 roku, nastąpiło ponowne uruchomienie polskiej szkoły podstawowej. Jak podają kroniki miejskie, kierownikiem (bo wówczas jeszcze kierujący szkołą

nie był w nomenklaturze dyrektorem szkoły) był Jan Perz, a nauczycielami: jak dawniej Stefan Kosicki, Marian Szczęsny, Kazimierz Wika, od 1 maja 1945 roku także Teodor Lejmanowicz.



Fragment elewacji szkoły w Obrzycku (Źródło; Internet)

Nie jest więc zaskoczeniem, że po wielu latach jako patrona dzisiejsza placówka w tym miejscu przyjęła właśnie tych, dzięki którym mgła ona zostać uruchomiona jako szkoła polska. Jej mury zewnętrzne pamiętają jednak zdecydowanie czasy pruskiego rugowania w Wielkopolsce języka polskiego w edukacji, o czym świadczy stan ich zachowania, sino-brunatna barwa cegły poddawanej przez dziesięciolecia działaniom klimatu oraz stan jej „pylenia” na zewnątrz”.

Obrzycko upamiętniło 38 swoich Powstańców także w formie umieszczonej w 1969 roku tablicy pamiątkowej na elewacji Ratusza (na fotografii autora poniżej).



Tablica pamiątkowa umieszczona na elewacji obrzyckiego Ratusza (Źródło; archiwum własne)

Kolejny raz takie upamiętnienie nastąpiło krótko po tym, jak w miasteczku wybudowano nową siedzibę Urzędu Gminy Obrzycko (po rozdzieleniu miasta i gminy Obrzycko na dwa odrębne byty administracyjne). Na elewacji tego budynku umieszczono tablicę pamiątkową, na której wymieniono prawie wszystkich Powstańców Wielkopolskich

Ziemi Obrzyckiej. Jest tam jednak jeden wyjątek (to dlatego „prawie”), ale o nim za chwilę.



Tablica pamiątkowa poświęcona Powstańcom Wielkopolskim
umieszczona na gmachu Urzędu Gminy Obrzycko. (Źródło;
archiwum własne)

Te trzy miejsca przypominają o chlubnej karcie jaką zapisali mieszkańcy miasteczka swoją walką (także zbrojną) o powrót na ich teren pełnej polskości.

Nazwiska Powstańców Wielkopolskich wyryte są w pamięci już kolejnych pokoleń i tak pewnie

pozostanie, jako że w wielu rodzinach bohaterów z Obrzycka z niekłamaną dumą i estymą kultywuje się pamięć o nich, tak jak czynią to kolejne pokolenia m.in. Szydłowskich, w rodzinie dziadka mojej żony, w rodzinach Śramów, Liberów, Bruchów, Frąckowiaków oraz wielu innych rodzin w Obrzycku i na Ziemi Obrzyckiej.

A propos poczty. Przy Placu Lipowym do dzisiaj mieści się budynek poczty, w którym pracowała przez kilka lat (do emerytury) moja teściowa. Kiedy byłem tam któregoś popołudnia stwierdziłem, że czas tam się pewnie zatrzymał dużo wcześniej niż przypuszczałem.

Otóż teściowa obsługiwała centralę telefoniczną (czy może łącznicę?) raczej żywcem z muzeum albo ... węzła łączności w moich „wojskowych” czasach.

Była to duża szafa z kilkudziesięcioma otworami na dżeki (nie liczyłem ich dokładnie), a w dolnym segmencie, poniżej białej, „kręconej” tarczy telefonicznej, wychodziły z tej stojącej skrzyni sznury z bolcami, służącymi do „nawiązywania” łączności poprzez łączenie owych „dziur” przywołanymi przewodami, tworząc *ad hoc* kolejne, tymczasowe linie doraźnej komunikacji.

Stwierdziłem przy okazji, że pocztowcy to bardzo „kochliwa” nacja, wszak moja teściowa co chwilę zwracała się do koleżanki „po drugiej stronie drutu” per „kochaniutka”, daj mi np. Warszawę albo Kielce.

A do tego ten głośny teleks (była kiedyś taka maszyna do zdalnego przesyłania tekstów pisanych na maszynie), bo nie dodałem wcześniej, że to był

czas kiedy jeszcze nie było na obrzyckiej poczcie, dzisiaj już praktycznie „przedawnionych” faksów oraz bardzo współczesnych komputerów, ze scannerami, z mailami oraz rozpowszechnionych na każdym poziomie wieku telefonów komórkowych.

Z Placu Lipowego, a dokładniej zza posterunku policji (wówczas milicji) przy ul. B. Prusa, widać już było prawie koniec miasteczka. Pamiętam jeszcze te puste właściwie połacie pól ciągnących się pod sam las.

Kiedy jednak przy ulicach Kopernika oraz Mickiewicza dynamicznie zaczęły tam powstawać niewielkie, ale już nowoczesne w swojej formie domostwa, teren ten przestał być dla mnie tak dziewiczy. Do tej pory w Obrzycku mówi się tych domostwach i wytyczonych tam krótkich uliczkach; „Na działkach”.

Oczywiście z czasem zacierają się w mojej pamięci szczegóły, lecz przypominam sobie jeszcze przy ulicy Bolesława Prusa niewielki (prawie nowy w tamtym czasie) pawilon handlowy [to pewnie jednak za dużo powiedziane] postawiony w stylu „soreal”, w którym pierwszą pracę po szkole podjęła moja szwagierka Barbara.

Stała dumnie tam za ladą, a ponieważ do dzisiaj lubi wiedzieć co się w Obrzycku aktualnie dzieje, więc była doskonałym „centrum informacji” dla znajomych. Pewnie także dlatego zapamiętałem to miejsce jakoś, jakby bardziej niż inne.

Przed sklepem w lewo skręcało się jeszcze w ulicę Mickiewicza, w kierunku „działek”, przy której zbudowano, pierwszy wówczas „klockowaty” budynek dla obrzyckich nauczycieli.

Dlaczego to ważne? Ano pewnie zapamiętałem ten fakt, bo kiedyś zamieszkali w jednym ze znajdujących się tam mieszkań oświatowych znajomi mojej Ewy ze studiów w Poznaniu, Marek i Donata Rybscy.

Prawdę mówiąc to właśnie moja żona przez pewien czas marzyła by pracować w Obrzycku, gdzie miałaby w swojej dawnej szkole uczyć – w zgodzie z kierunkiem studiów - fizyki i być może także matematyki. Ale za moją przyczyną, jeszcze w trakcie pobierania nauki zamieszkała (przez dwa lata jeszcze prawie „korespondencyjnie”) w naszym pierwszym, wspólnym lokum nad morzem, w Ustce. Oczywiście Ewa po studiach nadal nie przestała swojej przyszłości wiązać z edukacją szkolną. Całe swoje życie zawodowe przepracowała w szkołach (tym razem już) w Darłowie, bo tam po pewnym czasie zamieszkaliśmy, na trzech poziomach nauczania. Uczyła więc matematyki, fizyki oraz informatyki (była bardzo lubianą i cenioną przez uczniów oraz rodziców [również po przejściu na zasłużoną emeryturę], a nawet z dużymi sukcesami dyktowała czas jakiś w jednej z tamtejszych szkół.

Przy sklepie „na działkach” z Placu Lipowego przechodziłem na ulicę Stawną. Co w tym szczególnego? Pewnie tylko tyle, że w pobliżu placu zwanego „Plendzem” był kiedyś taki mały domek z czerwonej cegły, który zaświadczał jako żywo o tym, że wcześniej (wiele lat przed II-gą wojną) w Obrzycku spokojne życie wiedli także przedstawiciele wyznania mojżeszowego.

Nie znałem jeszcze wówczas szczegółów ani historii funkcjonowania tam rodziny żydowskiej, lecz architektura tego domku, rosnące w przydomowym ogródku – rzadko dzisiaj spotykane – malwy, słoneczniki i nasturcje, kazały mi mieć takie skojarzenia. Do tego ten dawno nieczynny żydowski kirkut ...

Dopiero kiedy dowiedziałem się więcej, polubiłem to miejsce jeszcze bardziej. Okazało się bowiem, że jeszcze po wojnie (to akurat pamiętam) mieszkała tam z rodziną siostra dziadka Ewy, Leona Schmidta. Co więcej, urodził się tam i mieszkał swego czasu także dziadek Leon z rodzicami oraz z rodzeństwem, wszak domek oddzielony od terenu dawnego kirkutu czerwonym murem z cegły był jego domem rodzinnym. Bo budynek ten rzeczywiście zbudowany był na terenach „pożydowskich”, z dostępem do rzeki Samy.

Ciocia mojego teścia, Irena wyszła za mąż za Władysława Szmytę, a ciekawostką jest to, że przed ślubem ciocia także nosiła nazwisko (co naturalne!) Schmidt.

Jak to się stało, że mąż cioci Ireny po wojnie zmienił nazwisko, na bardziej spolszczone?

Po prostu nie chciał on (podobnie jak cała jego rodzina lub chociaż kilkoro z nich) by nadal w Obrzycku traktowano go jako Niemca. No cóż, to było w jakimś sensie wytłumaczalne. Więc sobie spolszczył swoje nazwisko z przyczyn czysto pragmatycznych. Wspominam o tym ponieważ fakt ten jest znamienym wyróżnikiem dla społeczności lokalnej Obrzycka i regionu.

W sposób legalny miejsce to nadal pozostaje „w rodzinie” ponieważ – chociaż tego domku ani muru już nie ma – tam właśnie postavili swojego „bliźniaka” moi dwaj szwagrowie, bracia Ewy. Pamiętam czas kiedy „systemem gospodarczym”, Jurek w metalowych formach” wytwarzał bloczki betonowe do budowy na stole wibracyjnym, jak suszył obracając je systematycznie i z mozołem na słońcu, jak bracia gromadzili w trudnych czasach niedostępne prawie materiały budowlane i stolarkę, a później jak rosły mury ich wymarzonych domów. No ale to jest lub byłaby już pewnie dla czytającego trochę nudna historia.

W każdym razie dzisiaj jestem nadal zauroczony nie tylko tym miejscem (w łagodnym obniżeniu terenu pomiędzy Samą i Stawną) ale także dynamiką rozwoju miejscowości w tamtym rejonie Obrzycka. Ilekroć jestem w tym miasteczku, zawsze mnie tam „ciągnie” i zadziwia do pewnego stopnia.

A i dwaj moi szwagrowie mieli w tym swój aktywny udział. Dzisiaj także obaj stanowią o sile obrzyckich biznesów.

Kiedy bowiem starszy ze szwagrów „zszedł na ląd” - jako już wówczas kapitan żeglugi wielkiej - zajął się po pewnym czasie (czas jakiś pracował bowiem „na państwowym” i „u kogoś”) budowaniem pawilonów z tzw. „Płyty obornickiej” i w ten sposób podtrzymał nadal swoją „pozycję” w środowisku miasteczka.

Był nawet swego czasu radnym miejskim, a nawet kandydował niedawno na burmistrza Obrzycka, mając wielką ochotę służyć w ten sposób swoim współ-

mieszkańcom. No ale „łaska Pańska na pstrym koniu jeździ”, a ludzie zdecydowali inaczej.

Dzisiaj, ten spokojny kiedyś kwartał miejski, łagodnie tętni życiem. Od kiedy stanął tam dyskont „Biedronki” jest gwarno i jakoś aktywnie.

I tylko nie ma już tam [pod naciskiem polskich gmin żydowskich] obrzyckiego „Plendzu”, bo okazało się, że zbudowany on został w 1975 roku na miejscu żydowskiego kirkutu (cmentarza – przyp.)

To mieszkańcy miasteczka przyjęli oczywiście ze zrozumieniem, ponieważ nie leżało w ich naturze „deptanie pamięci” o zmarłych przed nimi dawnych sąsiadów z tej samej miejscowości.

Chodziło także o odwieczną, specyficzną kulturę żydowską, a raczej zachowania się wobec zmarłych tego wyznania. O tym wątku za chwilę.

Cmentarze w Obrzycku

A propos pamięci o zmarłych. Pisząc o miejscach w Obrzycku, które dzisiaj już zmieniły swoje przeznaczenie należy w tym kontekście wspomnieć o tutejszych cmentarzach lub zamienienie, o nekropoliach.

Nazywając jakiegokolwiek miejsce w Polsce cmentarzem „złapałem się” na tym, że nie jest precyzyjnie oczywistym to, co tak naprawdę ten termin w sobie zawiera. Zastanowiłem się więc nad tym, w jaki sposób powinienem zdefiniować cmentarz i co to w ogóle jest cmentarz?

W potocznym, czy może raczej najbardziej rozpowszechnionym pojęciu, można uznać go za wyraźnie wyodrębniony, oznaczony i zdelimitowany teren, przeznaczony do grzebania zmarłych.

To na nim ulokowane są mogiły, wyraźnie wyodrębnione w zwyczajowo przyjętej formie wizualnej. Inaczej rzecz ujmując jest to instytucjonalnie ukształtowany wycinek przestrzeni o programowo założonym grzebalnym przeznaczeniu, zorganizowanym według pewnych dyrektyw – reguł kulturowych, związanych tak ze zrytualizowaniem form grzebania zmarłych, jak z istnieniem pewnej tradycji sposobu utrwalania pamięci o nich.

Dla katolików cmentarz oznacza coś zupełnie innego niż dla innych wyznań, wszak katolicy pojmują to miejsce (nie wdając się oczywiście w rozważania filozoficzne oraz teologiczne) jako „miejsce śpiących”, wierząc w zmartwychwstanie. Wyznawcy innych religii natomiast „czytają” to dosłownie; ne-

kropolia, czyli „miejsce zmarłych”, albo jak kto woli, miejsce wiecznego spoczynku.

Jest to zatem przestrzeń w każdym przypadku przynależna *sacrum* [świętości], miejsce sakralizacji śmierci, jest jednocześnie przestrzenią nienaruszalną, co oznacza, że nie może być ona wykorzystywana do innych celów niż te, które nakłada na nią owa kategoria *sacrum*

I to nie tylko w chrześcijaństwie, bowiem łatwo można je zaobserwować także w odniesieniu do żydowskich kirkutów, nekropoli muzułmańskich czy nawet w przedchrześcijańskich kulturach pogańskich.

Co ciekawe, zasada nienaruszalności przestrzegana była w obrębie chrześcijaństwa dość swobodnie, czego przykładem jest problem przenoszenia cmentarzy najpierw z terenów pozamiejskich w obręb miasta i lokalizowanie ich przy kościołach lub zborach, a następnie ponowne wyprowadzenie owych nekropoli z przestrzeni miejskiej i lokalizowanie ich w odpowiedniej odległości od miast.

Począwszy od X-go wieku cmentarze ponownie włączane były bowiem w obręb przestrzeni miejskiej, a w 1059 roku, w wyniku postanowień soboru rzymskiego, uzyskały status „świętych pól”, za bezczeszczenie których grozić miało nawet nałożenie klątwy.

W obrębie miast pozostały one do II-giej połowy XVIII-go wieku, kiedy to bezpieczeństwo ludności oraz jakość warunków zdrowotnych i sanitarnych wzięły górę nad nienaruszalnością przestrzeni świę-

tej, co zaowocowało zamykaniem (dla pochówku zmarłych) cmentarzy przykościelnych oraz otwieraniem nowych cmentarzy poza miastami.

Oczywiście nie było to jednoznaczne z ekshumacjami i przenoszeniem grobów na nowe miejsca. Po prostu nowe pochówki odbywały się już w nowych miejscach. Kiedy z różnych powodów (np. rugowanie z lokalnej przestrzeni lub drastyczne samoo graniczanie się jakiegoś licznego wyznania) zamykano także owe nowe nekropolie, a takie miejsca włączano ponownie do przestrzeni miejskiej.

Niekiedy (jak na przykład w Obrzycku kilkadziesiąt lat po II-gie wojnie światowej) obszary, które dotychczas przynależały do *sacrum*, włączone zostały do świata profanum – na terenach dawnych nekropolii powstawać zaczęły miejskie parki oraz place lub boiska szkolne.

W tym przypadku mowa o wspomnianym, pożydowskim kirkucie przy obecnej ulicy Stawnej, ale także o nekropoliach ewangelickich, tej za szkołą podstawową w pobliżu Placu Lipowego oraz tej przy ulicy Zielonej, gdzie od wielu lat zorganizowany jest Ogród Jordanowski.

W końcu, w związku z rozwojem miast w XIX-tym i XX-tym wieku, cmentarze ponownie stają się z przyczyn obiektywnych zauważalne w topografii wielu miast. Zwłaszcza duże miasta (ale i te mniejsze miejscowości) rozbudowują się dookoła istniejących już wcześniej cmentarzy i nekropolii.

Już jednak na przełomie XVI-tego i XVII-tego wieku (m.in. w Paryżu) zauważalny był negatywny wpływ obecności cmentarzy w mieście. Pogorszeniu suk-

cesywnie ulegały bowiem warunki zdrowotne oraz sanitarne, na jakość swego życia narzekali przede wszystkim mieszkańcy budynków bezpośrednio sąsiadujących z terenem cmentarza.

W istocie, cmentarz, jako sfera *sacrum* stanowił przestrzeń nienaruszalną, dlatego też podczas wybuchów kolejnych epidemii zalecano podejmowanie określonych środków zapobiegawczych. Nie podjęto się jednak próby uregulowania lokalizacji nekropolii na obszarach poza-miejskich, a jedynie w centrach lub w ścisłym obrębie miasta.

Pomysł przeniesienia cmentarzy za miasto pojawił się ze zdwojoną siłą w XVIII-tym wieku, kiedy wzrosła świadomość społeczna w tym zakresie, a ponadto pojawiły się głosy części duchowieństwa, zgodnie z którymi kościoły i zbory, gdzie do tychczas chowano zmarłych, nie powinny przynosić szkody mieszkańcom miast.

Dodatkowo przeniesienie cmentarzy za miasto miało mieć wymiar symboliczny, polegający na oddzieleniu świata żywych od świata zmarłych.

Jednocześnie już w XVIII-tym wieku [najpierw we wspomnianej Francji, a następnie w wielu krajach europejskich] rozpowszechnieniu uległy groby indywidualne (nie tak ja wcześniej, kiedy chowano ciała jedno na drugim, owinięte jedynie w materię), trumna stała się obowiązkowym „wyposażeniem zmarłego”, dokładnie też określono głębokość oraz odległości między miejscami grzebalnymi, wprowadzono możliwość zakupu takiego miejsca na przyszły grób oraz postawienia indywidualnego dla zmarłego pomnika.

Anonimowość zmarłych zastąpiła personalizacja miejsc pochówku oraz dziedziczna własność grobu. Pogrzeby ponownie nabrały religijnego charakteru, cmentarz stał się święty, wrócił do sfery *sacrum*.

Pogrzeb miał stanowić szczególny akt religijny związany z kultem zmarłych, zapewniać bezpieczne przekroczenie granicy między światem żywych i umarłych. Akt ten miał być jak najłatwiej zaakceptowany przez rodzinę i otoczenie zmarłego, co szczególnie uwidocznilo się u progu XIX-tego wieku, kiedy w miejsce śmierci oswojonej i oczekiwanej, której wyrazem było hasło *memento mori*, pojawiła się – w zasadzie niespotykana wcześniej zbyt często - śmierć opłakiwana, związana z żałobą po odejściu bliskiej osoby.

Specyfika i charakter współczesnej nekropolii stanowi wypadkową wielu złożonych procesów historycznych, do których zaliczyć trzeba przede wszystkim wyjście cmentarzy poza obręb przestrzeni miejskiej, zmiany w podejściu człowieka do śmierci (od śmierci oswojonej, przez śmierć opłakiwaną, do śmierci przemilczanej, o której się po prostu nie mówi), zmieniające się mody i zwyczaje czy w końcu przeobrażenia w świadomości i sposobie życia ludzi (obecnie związane w dużej mierze z upowszechnianiem kultury masowej).

Jeszcze do niedawna komercjalizacja ta ograniczała się jedynie do sprzedaży kwiatów na terenie przycmentarnym (czasem także na cmentarzach), obecnie tworzą się swego rodzaju stragany, na których kupić można kwiaty, znicze, ale też inne przedmioty, niezwiązane z kultem zmarłych.

Cmentarze stały się doskonałym miejscem do prowadzenia biznesu.

Nekropolia to z jednej strony przestrzeń kultury, z drugiej natomiast – przestrzeń spotkania.

W pierwszym przypadku znaczenie ma lokalizacja cmentarza, jego miejsce w sieci topograficznej, znaczenie dla rozwoju sieci osadniczej czy odbicie losów historycznych regionu.

Drugi przypadek odnosi się do roli dziedzictwa kulturowego w regionie, poszanowania tradycji, kształtowania pamięci indywidualnej i zbiorowej, budowania tożsamości. Innymi słowy, cmentarz to integralny element miasta i jego życia.

Szczególnym odzwierciedleniem relacji między *sacrum* a *profanum* są – wspomniane wcześniej przeze mnie - nekropolie ginące, nieczynne, niszczone bądź przekształcane w parki. Swoista „śmierć” cmentarzy jest zjawiskiem tak samo naturalnym jak śmierć ludzka, wszak rzeczywistym kontekstem śmierci jest życie.

Cmentarz nie jest zatem przestrzenią trwałą i niezmienną, podlega takiemu samemu cyklowi jak życie ludzkie. Osłabienie związków emocjonalnych, uczuciowych czy też racjonalnych prowadzi do zapomnienia i w ostateczności „śmierci” cmentarza, utracenia przezeń sakralnego, nienaruszalnego charakteru. Cmentarze zapomniane stają się obiektami ruderalnymi lub przekształcane zostają w tereny użyteczności publicznej, jak wspomniane parki czy skwery.

Podział na *sacrum* i *profanum*, choć szczególnie silny w kulturze zachodniej i związanej z nią

religii chrześcijańskiej, nie jest podziałem sztywnym i niezmiennym. Obie sfery podlegają wzajemnemu oddziaływaniu, granica między nimi jest płynna, podlega nieustannej fluktuacji i redefinicji.

To co dziś przynależne jest *sacrum*, jutro może stać się świeckie i odwrotnie.

Reasumując. Cmentarz jest miejscem, gdzie stykamy się ze sztuką sepulkralną. Jak napisał Jacek Kolbuszewski; ...*"Cmentarze są obrazem historii. Ich dzieje są także zwierciadłem przemian postawy wobec śmierci, stąd z wyglądu miejsc pochówku odczytywać można losy nie tylko jednostek, ale także wielkich zbiorowości oraz ich kultur"....*

Jeszcze wiele lat po zakończeniu II-giej woj.-ny światowej, niejako na tyłach szkoły podstawowej w Obrzycku, były zauważalne pozostałości już jednak „umarłej” nekropolii ewangelickiej. Architektura tego cmentarza wyróżniała się charakterystycznymi dla kultury protestanckiej elementami ozdobnych krzyży żelaznych, z akantem (motyw roślinny – przyp.) lub utrzymanymi w podobnym stylu groteski architektonicznej, betonowych [rzadziej z piaskowca] instalacji przyozdobionych wieńcami laurowymi.

Do dzisiaj pozostała jeszcze na wzór niemieckiej moda na płyty nagrobne z czarnego marmuru, chociaż na obrzyckich cmentarzach jest ich doprawdy niewiele. Miejsca ewangelickich pochówków ograniczały często kute ogrodzenia metalowe, co miało być m.in. wyróżnikiem bardziej zasobnych finansowo rodzin zmarłych. Innym razem chodziło o

stworzenie swoistej „intymności i spokoju ducha” dla najbliższych.

Jak mówię, nie ma już nawet śladu po tej nekropolii. Kiedy moja żona była jeszcze uczennicą obrzyckiej szkoły podstawowej, dzieciaki w ramach zajęć wychowania fizycznego grały tam wówczas w piłkę, a później w tym miejscu pobudowano obiekty sportowe.

Nie miało to jednak nic wspólnego z brakiem poszanowania dla zmarłych, a jedynie – ze wspomnianą wcześniej - zamianą *sacrum* na *profanum*.

Godzi się w tym miejscu wskazać na jeszcze jeden, istotny warunek istnienia w tym miejscu cmentarza. Otóż utworzony on został w czasie budowy nowego kościoła ewangelickiego przy obecnym Placu Lipowym i zamknięty wraz z zakończeniem funkcjonowania tego zboru po drugiej wojnie światowej. Oczywiście mówię o szacunkowym okresie, nie zaś o precyzyjnie ustalonych datach.

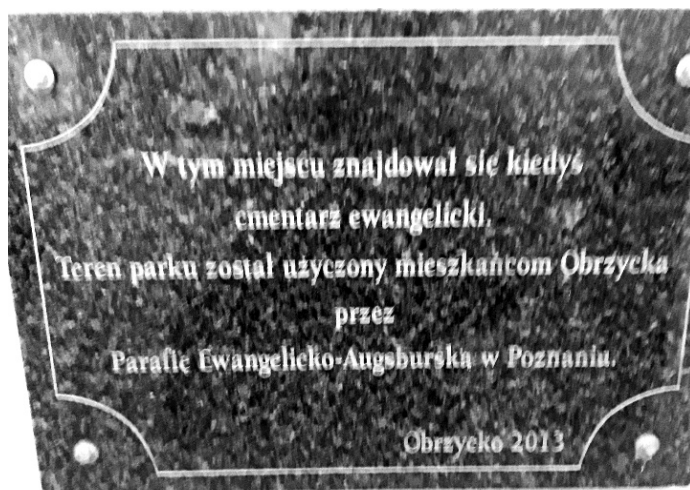
Nie mniej ciekawa historia wiąże się ze wspomnianą, starszą z dwóch ewangelickich nekropolii przy ulicy Zielonej.

Trudno jest w chwili obecnej określić precyzyjnie kiedy ten teren został zniwelowany. Prawdopodobnie stało się to w czasie kiedy zaistniała konieczność wyprowadzenia z obszaru miasta cmentarzy poza obszar zabudowany miejscowości. Istniał pewnie jeszcze czas jakiś, ale był już nieczynny.

Obie nekropolie ulokowane były kiedyś na obrzeżach miasta, co szkicuje pośrednio mapę topogra-

ficzną ówczesnego Obrzycka. Dzisiaj są to miejsca „w środku” miasteczka.

Trudno jest w zasadzie również odtworzyć architekturę tej nekropolii. Można co najwyżej zastosować analizę porównawczą, kierując się ogólnymi zasadami pochówków ewangelickich i kultury sepulkralnej. Pewne jest jedynie to, że nekropolia protestancka przy ulicy Zielonej jest tą starszą, a jej lokacja ściśle związana była z drewnianym zborem ewangelickim przy Rynku



Tablica upamiętniająca nieistniejącą nekropolię ewangelicką w Obrzycku, przy ulicy Zielonej (fot. archiwum autora)

Bardzo interesująco brzmiały, „rozmyte” już najczęściej, opowiadania starszych Obrzyczan na temat cmentarza żydowskiego (kirkutu), który powstał w połowie XVII-go wieku na mocy przywileju właściciela miasta. Niestety także i on został do-

szczętnie zdewastowany przez Niemców w okresie okupacji Wielkopolski oraz procesu niszczenia (eksterminacji) narodu żydowskiego, szczególnie w czasie II-giej wojny światowej. Dzisiaj trudno jest o odтворzenie kształtu i wyglądu także tej nieistniejącego już kirkutu.

Przez długi czas sądzono, że nie zachowały się żadne trwałe ślady z tej nekropolii. Do czasu kiedy znaleziono w czasie rozbiórki szopy jednego z rolników w Obrzycku kilka kompletnych macew.

Pochodzą one zapewne – jak wskazuje logika - z dawnego kirkutu żydowskiego przy ulicy Stawnej. Bez wątpienia było to miejsce wielce intrygujące.

Mając jednak wiedzę na temat wyglądu wielu podobnych miejsc żydowskich pochówków w Polsce, można wyobrazić sobie, że pewnie były to wspomniane kamienne macewy¹, odwrócone tyłem do miejsca spoczynku zmarłego, a na nich napisy w

¹ **Macewa** (hebr. מצבה, „nagrobek”) – żydowska stela nagrobna, najczęściej w formie pionowo ustawionej, prostokątnej płyty kamiennej lub drewnianej (od XIX w. także żeliwnej) zwieńczonej linią prostą, trójkątem, półkołem lub dwoma odcinkami koła. Górną jej część wypełnia płaskorzeźba, dolną zaś inskrypcja (epitafium). Płaskorzeźby mają znaczenie nie tylko dekoracyjne, lecz także symboliczne – ich elementy symbolizują cechy zmarłego. Niektóre z motywów dekoracyjnych występujących na macewach przeznaczone są dla przedstawicieli tradycyjnych grup społeczności żydowskiej, np. dla osoby pochodzącej z rodu kapłańskiego (kohena) – złożone w geście modlitwy dłonie, dla potomka rodu lewitów – dzbanek, dla uczonego lub rabina – korona Tory lub księga, dla kobiety świecznik, dla potomków pokolenia Judy – lew.

języku np. hebrajskim oraz swoiste „logo” szeregujące przynależność zmarłego do grupy społecznej. Cmentarz był zwyczajowo podzielony na część męską, żeńską i dziecięcą.

U podnóża macew, na ziemi układane były niewielkie „kamyki pamięci”². Kamienie owe są nawiązaniem do historii, kiedy zmarłych wyznania mojżeszowego chowano na pustyni, a zatem miały chronić ciało przed drapieżnymi zwierzętami. Ponadto kamień jest wieczny, z którego budowano m.in. świątynie. Jest to więc wieloznaczne i symboliczne nawiązanie do historii „Narodu wybranego”.

Wspomniałem o tym, że od 1975 roku przez pewien czas było tam miejsce rozrywki, z małą zadaszoną sceną dla orkiestry. Obecnie teren jest w części wygrodzony, by pamięć po tym cmentarzu jednak dla potomnych w jakiejś formie przetrwała. Pozostało jednak po owym kirkucie w Obrzycku „żywe” wspomnienie w środowisku gminy żydowskiej, która przyzwoliła na ten stan rzeczy, ograniczając się jedynie do oznaczenia miejsca tego dawego kirkutu stosowną tabliczką upamiętniającą.

Także w tym miejscu pojawia się jakiś delikatny wątek rodzinny. Otóż – wiem to z opowiadań rodzinnych – ciocia Irena (siostra dziadka Leona Schmidta) i wujek Władysław Szmytowie przez lata wystawiali po każdym pogrzebie na tym kirkucie, bezpośrednio w pobliżu cmentarnego muru, przy

² Oznaczenie nim miejsca czyjegoś pochówku jest uznawane za spełnienie przykazania i szlachetnego uczynku. Ściślej: za kontynuację micwy *chesed shel emet*, czyli „prawdziwego umiłowania”

wejściu na swoją posesję, na taborecie miskę z wodą dla żałobników w celu rytualnego³, (jak nakazuje *halacha* – religijne prawo żydowskie) ale także higienicznego obmycia rąk po ceremonii.

Owo miejsce wiecznego spoczynku zmarłych wyznania mojżeszowego – powtórzę raz jeszcze - pierwotnie położone było poza obrębem miasta, a sama jego lokalizacja pewnie wiązała się z bliskością żydowskiej bożnicy, w miejscu nieczynnego już dzisiaj kina przy ulicy Kruppika.



Dawna bożnica żydowska (synagoga) w Obrzycku [dawne kino] (Źródło; Internet)

³ Jeden z traktatów prawa żydowskiego - *ohalot* - mówi o nieczystości związanej z kontaktem ze zwłokami. W dorozumieniu mowa także o pogrzebie, w szerokim tego pojęcia znaczeniu.

Inna sprawa, że to współczesna gmina żydowska w Polsce rościła sobie w dobie transformacji ustrojowej prawo do dysponowania tym obiektem, więc jego obecny stan zachowania nie jest zależny od władz miasta.

Dlaczego tak wiele miejsca poświęciłem cmentarzom żydowskim, chociaż jestem katolikiem? Oczywiście nie przez uwielbienie dla samego wyznania mojżeszowego, a raczej fascynacji kulturą sepulkralną obowiązującą jej wyznawców na kirkutach. Osoba przebywająca na takiej nekropolii powinna się odpowiednio zachowywać, by wyrazić w ten sposób szacunek dla zmarłych, miejsca i kultury (o czym wspomniałem wcześniej). Na cmentarzu żydowskim nie wolno: pić, jeść, a nawet modlić się. Generalnie, nie wolno robić niczego, czego nie mogą już robić zmarli. Jest to związane z nakazem wykonywania micew (zapisów Tory w postaci 613 przykazań judaizmu, pozytywnych i negatywnych – przyp.).

Ponieważ zmarli nie mogą ich wykonywać, wyrażamy swój szacunek do nich, nie prowokując wykonywaniem niepotrzebnych czynności. Poza tym, nie wolno skracać sobie drogi, przechodząc przez kirkut, ścinać drzew, wyrwać trawy. Drzewo, które korzeniami rozsadza nagrobek, nie może zostać ruszone, ponieważ należy ono do zmarłego, dotyka go swoimi korzeniami.

Oczywiście nie ze wszystkim tak bezgranicznie się zgadzam, to jednak jest kilka zachowań, które chętnie sam stosuję i innym też zalecam.

Wprawdzie trudno jest to dzisiaj precyzyjnie ustalić, ale wszystko na to wskazuje, że najstar-

szym cmentarzem w obrębie Obrzycka był ten ulokowany do dzisiaj w obrębie kościoła katolickiego pw. św. apost.



Piotra i Pawła. Jest on pewnie „rówieśnikiem” świątyni, w otoczeniu której się znajduje. Co ciekawe ów cmentarz jest nadal - do pewnego stopnia oczywiście – „czynną” nekropolią, wszak sporadycznie odbywają się tutaj nadal

pochówki osób szczególnie zasłużonych dla kościoła oraz Obrzycka (jak np. wieloletni proboszcz Edmund Dolczewski) lub w ramach [przepraszam za zbyt trywialne określenie] „łączenia rodzin”.

Najczęściej jednak pochówki dokonywane są oczywiście na nekropolii ulokowanej od wieków pod lasem [nekropolii bo mogą być chowani tam obecnie także wyznawcy innych religii, więc określenie cmentarz byłoby pewnie mało właściwe]. Wprawdzie jest ona pod jurysdykcją kościoła katolickiego, to jednak – jak mówię - chowani są tam zmarli według „klucza komunalnego”, bez względu na wyznanie lub swój deklaracyjny ateizm.

Nagrobki współczesne na obrzyckim cmentarzu nie zachwycają swoją różnorodnością i porywającą architekturą, tak jak ma to miejsce np. na warszawskich Powązkach, gdzie spoczywają wybitni artyści, popularni aktorzy czy znani politycy, a ich grobowce

oraz pomniki wyróżniają się artystycznym kunsztem i niosą potomnym jakiś przekaz.



Nekropolia obrzycka skrywa jednak swój, jakże chwalebny przekaz patriotyczny. Są tam bowiem (na obu cmentarzach), przy estetycznych w formie pomnikach nagrobnych na mogiłach, upamiętnienia Powstańców Wielkopolskich, którzy znaleźli tam miejsce wiecznego spoczynku po życiu pełnym chwały i trudów. Owo upamiętnienie – z inicjatywy grupy lokalnych mieszkańców – objawia się w postaci marmurowych, indywidualnych tabliczek na niskim cokole w miejscach ich pochówku.

Dodatkowo, od kilku lat, w każdą rocznicę wy-marszu pododdziału żołnierzy z Ziemi Obrzyckiej do Powstania, na front północny, mieszkańcy Obrzycka przyozdabiają owe tabliczki szarfami w barwach narodowych, co jeszcze bardziej podkreśla sens oraz przesłanie ich bohaterskiej walki o Polskę.

Nekropolia współczesna pod lasem dzisiaj także otoczona jest (wprawdzie najczęściej w pewnej odległości od jego płotu) zabudową jednorodziną miasteczka.

W urokliwym domku przy ulicy Leśnej mieszka między innymi długoletnia pielęgniarka i siostra śródowiskowa, a prywatnie kuzynka mojej żony, wspomniana wcześniej Grażyna, która przepracowała

całe swoje życie zawodowe w jednym miejscu w Obrzycku, by przekazać schedę zawodową swoje córce Elżbiecie. To do niej tak bardzo lubiłem zaglądać, by czegoś ciekawego o Obrzycku oraz o jego mieszkańcach się dowiedzieć. A zapewniam jest kopalnią wiedzy na te tematy. Ale to tylko tak na marginesie.

Jak mówię, w pobliżu cmentarza są już dzisiaj zabudowania, ale w tym miejscu chcę wspomnieć o drodze wiodącej z kościoła pw. św. Apostołów Piotra i Pawła, mijającej po prawej stronie dzisiejszy cmentarz, a następnie wzdłuż niej rozlokowany jest po obu jej stronach – przywołany wcześniej „Berlinek”. O nim jednak za chwilę.

Kościół katolicki pw. świętych apostołów Piotra i Pawła

Jak niedziela w Obrzycku to pewnie (niejako obowiązkowe dla wielu) wyjście do kościoła. Jest on położony na zachód od Rynku, na wyraźnym wypiętrzeniu terenu morenowego w pobliżu koryta rzeki Warta.



Kościół katolicki pw. św. apostołów Piotra i Pawła w
Obrzycku (fot. Internet)

Plac wokół tego kościoła porośnięty jest uroczym starodrzewem, z którego wyłania się owa Warta, a za nią wierzchołek Pałacu Raczyńskich na Zielonej górze, kiedyś przedmieściu Obrzycka

Owa orientowana świątynia¹ przy (bo jakże by inaczej) ulicy Kościelnej wzniesiona została w latach 1714 – 1756, z inicjatywy przywołanego wcześniej przeze mnie Władysława Radomickiego herbu Kotwicz (przez pewien czas właściciela Obrzycka – przyp.), według projektu architekta Pompeo Ferrariego.

W pierwotnej postaci była ona budowlą wzniesioną na planie krzyża greckiego, o czterech krótkich ramionach, z których wschodnie i zachodnie zamknięte były półkolistymi absydami.

W latach 1906-1909 świątynie rozbudowano (czy może raczej przebudowano), tym razem już według

¹ O kościołach mówi się, że są „zorientowane” lub „orientowane”, jeśli ich prezbiterium z ołtarzem głównym jest zwrócone ku wschodowi (łac. Oriens – wschód) – w stronę, skąd ma nadejść Jezus Chrystus podczas swojego drugiego przyjścia („Albowiem jak błyskawica zabłyśnie na wschodzie, a świeci aż na zachodzie, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego” Mt 24,27). Jeżeli prezbiterium kościoła zwrócone jest w inną stronę, mamy do czynienia z kościołem nie orientowanym. Niepoprawny jest zwrot – kościół zorientowany na wschód, bo jeśli jest zorientowany, to wyłącznie na wschód. Spotyka się za to określenie „odwrotna orientacja kościoła” o kościołach, których prezbiterium skierowanie jest na zachód. Orientowanie kościołów katolickich pojawiło się już w X wieku. Chociaż od Soboru Trydenckiego nie było już obowiązujące, stosowano je powszechnie nadal, traktując jako katolicką tradycję. Obecnie, w nowych budynkach sakralnych jest dość rzadkie

projektu Rogera Sławskiego, dostawiając od strony zachodniej obszerną neobarokową nawę.



Kościół katolicki w Obrzycku, (widok z boku) w rysunku Konstantego Kontowskiego.

Nad kwadratową częścią centralną znajduje się kopuła posadowiona na wysokim cokole; ramiona krzyża usytuowane na osi kościoła przykryte są owalnymi kopułkami, dwa pozostałe wieńczą sklepienia tzw. żaglaste.

Nad absydą, w której mieści się zakrystia, wznosi się wieża z hełmem ostrosłupowym z XIX-go wieku. Jednolite rokokowe wyposażenie wnętrza – m.in. trzy ołtarze, ambona i odpowiadająca jej chrzcielnica – pochodzi z około 1780 roku. Obraz Ostatnia Wieczerza hiszpańskiego malarza Eugenio Caxesa z 1609 r., został przywieziony do Obrzycka przez Atanazego Raczyńskiego z klasztoru Jeronimos w Lizbonie.

Na nieco później datowane są obrazy ołtarzowe, które malarz religijny i świecki Jan Gładysz (żyjący w latach 1762—1830), wykonał dla tego konkretnego kościoła pod koniec XVIII wieku, kiedy pierwotnie był on dopiero wyposażany.



Wnętrze kościoła pw. św. apostołów Piotra i Pawła
w Obrzycku [Źródło; Internet]

Warto może wyjaśnić, że styl rokoko to nic innego jak późny barok, wyróżniający się tym, że typ barokowych, a szczególnie rokokowych budowli wzorowany jest dokładnie na renesansie, tyle, że „ze zwiększonym efektem optycznym”, w rokokowych budynkach, w rzeźbach oraz w malarstwie tamtego okresu dostrzegalna jest gołym okiem swoista dynamika. Barok od pierwszej niemal chwili wyróżnia bogactwo dekoracji i form ornamen-

talnych, wręcz przepych. Właśnie w kościele p.w. św. apostołów Piotra i Pawła w Obrzycku zauważyłem, że powierzchnia ścian wewnętrznych i zewnętrznych otrzymywała linię zmienną, kiedy zastoso-
sowano m.in. cofnięcia elementów oraz niekiedy tzw. „wyjścia naprzód”. Już w czasie pierwszej mojej wizyty w tej świątyni dostrzegłem bogactwo złotej polichromii.

Uwagę modlących się w tej świątyni (lub tylko ją zwiedzających) zwraca znajdujący się tam „boga-ty” nagrobek arcybiskupa gnieźnieńskiego, a nawet pełniącego przez pewien czas godność Prymasa Polski, księcia Ignacego Raczyńskiego.

Wprawdzie zmarł on 19-tego lutego 1823 roku w Przemyślu i zgodnie z jego wolą ciało zostało po-chowane w Brzozowie, to jednak – po ponad dwu-dziestu latach - w 1854 roku, pod naciskiem rodziny zmarłego zostało ekshumowane, a następnie 22-go maja tego samego roku przeniesione do Obrzycka, by zostać złożone w tutajszym kościele.

Wcześniej nominację na arcybiskupstwo w Gnieźnie otrzymał 29 stycznia 1805 r. od króla prus-kiego Fryderyka Wilhelma III. Elekcja przez kapitułę nastąpiła 19-go marca tego samego roku, papież Pius VII natomiast udzielił swojej ostatecznej apro-baty na tę nominację dopiero 7-go września w 1807 roku.

Arcybiskup Ignacy Raczyński (nigdy bowiem, pomi-mo funkcji Prymasa nie został kardynałem, ale też nie było takiego wymogu) rządu w archidiecezji objął 10 grudnia 1807 roku, ale ingres odbył dopiero trzy lata później.

W roku nominacji królewskiej na Prymasa otrzymał też tytuł ksiązęcy, który dziedziczyli później także jego następcy. W 1807 r. został też na pewien czas administratorem diecezji warszawskiej.

To tak tylko by ewentualnie poszerzyć wiedzę czytających oraz ustalić znaczenie osoby z tego „obrzyckiego” sarkofagu.

Wykonany on został w połowie XIX-tego wieku, wg projektu Ludwika Wilhelma Wichmana z Berlina. Na cokole z szarego marmuru, klęczy odlana z brązu postać zmarłego biskupa.

W obrzyckim kościele pod wezwaniem apostołów Piotra i Pawła umieszczone są także szczątki, III-go w kolejności ordynata na Obrzycku, tym razem luteranina, hrabiego Zygmunta Raczyńskiego. Historia umieszczenia owych szczątków w tym właśnie miejscu jest przeciekawa i świadczy o ekumenizmie współczesnych. Otóż w 1937 roku zmarł ów ordynat Raczyński (krewny katolickiego Prymasa Polski, Ignacego Raczyńskiego) i pochowany został z godnością oraz w zgodzie z obowiązującymi zasadami i dobrym zwyczajem w ewangelickiej świątyni, na obecnym Placu Lipowym w Obrzycku, jako że wcześniej zapisał się złotymi zgłoskami w ścisłym gronie fundatorów tamtego zboru.

Jak wiadomo (o czym wspominałem chwilę wcześniej) ewangelicki zbor w tamtym miejscu aktualnie (od kiedy w Obrzycku nie ma już gminy protestanckiej) popada [zwłaszcza wewnątrz] w kompletną ruinę.

W tych okolicznościach, w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku (a więc jeszcze za tzw. „komuny”)

ekshumowano znajdujące się tam przez dziesięciolecia w zapomnieniu szczątki hrabiego ordynata Zygmunta Raczyńskiego i przeniesiono – oczywiście za zgodą ówczesnego proboszcza oraz władz Archidiecezji Poznańskiej - do katolickiej świątyni pod wezwaniem świętych apostołów Piotra i Pawła w Obrzycku.

Płyta nagrobna z jego grobowca przez kilkanaście lat jeszcze znajdowała się w tutejszej „ruinie” po kościele ewangelickim. Dopiero jednak w 2017 roku, na mocy porozumienia z władzami miasta przekazana została, jako długoterminowy depozyt do muzeum regionalnego w Szamotułach, gdzie umieszczono ją w tamtejszym lapidarium.

Owa płyta wykonana została z bloku granitowego o wymiarach: 220 cm długości, 122 cm szerokości i 17 cm grubości. Umieszczono na niej wypukły herb Nałęcz oraz napis z imieniem oraz nazwiskiem zmarłego i datami jego urodzin oraz śmierci.

W mojej pamięci najbardziej utkwiała prze-sympatyczna postać przez długie dziesięciolecia z tą świątynią i z Obrzyckiem nierozzerwalnie związana, a mianowicie – przywołany wcześniej na stronach tego opowiadania – ksiądz Edmund Dolczewski.

On to udzielał ślubu m.in. moim późniejszym teściom Janinie Szydłowskiej i Leonardowi Schmidt, ochrzcił następnie po jakimś czasie czwórkę ich dzieci, przygotowywał i udzielił Pierwszej Komunii Świętej mojej Ewie, udzielił jej i mi ślubu, wreszcie, krótko przed swoją śmiercią ochrzcił moją córkę. Postać prawdziwie „historyczna”, wszak był świad-

kiem najważniejszych wydarzeń w życiu naprawdę wielu mieszkańców miasta, na przestrzeni kolejnych dziesięcioleci.

Znał z imienia pewnie wszystkich tutaj, ale też wszyscy jego znali, szanowali i lubili. Kiedyś dzieciaki, a dzisiaj już zdecydowanie dorośli ludzie, wspominają te smaczne cukierki, które zawsze nosił dla nich w kieszeniach swojej sutanny (był księdzem tzw. diecezjalnym, więc nosił sutannę, a nie habit tak jak czynią to zakonnicy – przyp.)

Moja żona Ewa do tej pory „rozpływa się” wręcz nad smakiem zwykłego drożdżowego placka (z „piekarnika” mieszkającej na plebani siostry tego kapłana), którym ksiądz Dolczewski poczęstował ich na „pokośmiejnym” spotkaniu w ogrodzie plebani.

Do tego podano ciepłą kawę zbożową z mlekiem, prosto od prawdziwej krowy (a nie z jakiegoś tam kartonu z konserwantami). W czasie takich opowiadań Ewy zawsze „leci mi ślinka”, bo jestem niepoprawnym łasuchem.

Wielu Obrzyczan oraz parafian z okolicznych wiosek wspomina serdecznie księdza, który nie wzywał ale uniżenie prosił ich niekiedy, by zawieźli go wozem do chorych z sakramentem, kiedy sam nie mógł dojść tam piechota lub bał się, że może nie zdążyć z posługą kapłańską na czas. Ech, długo by opowiadać. Pewnie we wspomnieniach bezpośrednich uczestników tych sytuacji wygląda to jeszcze bardziej ciepło i przyjaźnie.

Po śmierci w 1982 roku, szczątki księdza Edmunda Dolczewskiego złożono na cmentarzu w

obrębnie - przez co najmniej pół wieku - jego kościoła pw. świętych apostołów Piotra i Pawła w Obrzycku.

Dzielnica przemysłowa miasteczka

Wychodząc z cmentarza, na rozdrożu dróg – o czym wspomniałem – mamy do wyboru kilka kierunków. Ulicą Słoneczną, podobnie jak Leśną (jak sama nazwa sugeruje) możemy udać się na spacer do lasu, mijając po drodze kilka domków, w tym dobrze mi znany dom Grażyny oraz nieżyjącego już dzisiaj jej męża Lonia. Bardzo lubiłem sobie z nim podyskutować, bo wiedzę miał imponującą.

Trzecia droga na rozwidleniu prowadzi ponownie ulicą Kościelną do centrum Obrzycka (i kościoła po drodze). Pragnę jednak wspomnieć o czwartej możliwości.

Nieomal na wprost wyjścia z nekropolii możemy skrócić na tzw. „Berlinek”. Jest to droga, przy której w 1914 roku Niemcy zbudowali nie wielkie domy dla swoich rodaków uciekających w czasie I-szej wojny światowej przed bombardowaniami ich rodzinnych miast na terenie Prus. Dzisiaj tę ulicę (o ironio!) przemianowano na Powstańców Wielkopolskich lecz praktycznie mało przypomina „zero - jedynkowo” tamte czasy.

Na „Berlinku” pobudowano po drugiej wojnie wiele nowoczesnych domów, które wyraźnie oddziałują się od przeszłości. Pozostała jednak zwyczajowa nazwa dla tej „dzielniczy”, czy może raczej

części miasteczka kojarzonej po części z lokalnymi zakładami produkcyjnymi (bliżej ulicy Wronickiej, Dworcowej i Szamotulskiej) oraz z usługami.

W pobliżu „Berlinka”, jeszcze w czasie okupacji niemieckiej podczas drugiej wojny światowej, ulokowany został pierwszy zakład zwany do dzisiaj potocznie „betoniarnią”. Owa fabryka betonu w pierwszych latach swojego funkcjonowania pracowała przede wszystkim na potrzeby budowanych po sąsiedzku w Brączewie tajemniczych hal. Prawdopodobnie przeznaczone one miały być na magazyny lub do produkcji lekkiego sprzętu albo uzbrojenia wykorzystywanego później na wojnie, wszak Niemcy bardzo często ze względów pragmatycznych przenosili produkcję wojenna niektórych swoich koncernów na tereny okupowane.

Od kiedy tylko pamiętam, w tym rozbudowanym po wojnie zakładzie produkowane były elementy żelbetowe na potrzeby budownictwa rolniczego (m.in. dźwigary, kręgi studzienne, betonowe rury kanalizacyjne oraz kręgi melioracyjne, płyt stropowe.

W pobliżu zakładu, na „Berlinku” stanął też pierwszy w Obrzycku blok mieszkalny dla dwunastu rodzin, co uczyniło ówczesną wioskę pewnie jeszcze bardziej „miejską”. Do dzisiaj bardzo lubię spacerować po tej najdłuższej bodaj ulicy w mieście. Ulicy która prowadzi m.in. do tartaku.

Tę konkretną firmę uruchomiono z kolei tuż po tym, jak Obrzycko opuścili Niemcy. Tartak funkcjonował relatywnie dynamicznie przez kolejne lata. Jednak po pewnym czasie pojawiły się

głosy o likwidacji firmy, ponieważ władza różnego szczebla miewała przeróżne pomysły na gospodarkę. Sytuację zmienił dopiero rok 1973, kiedy to zakład został zmodernizowany na tyle, że dynamicznie wzrosła jego produkcja, a także rozpoczęto na szerszą skalę eksport do Anglii, Francji, Republiki Federalnej Niemiec, Izraela, Tunezji, Algierii, Iraku oraz kilku innych krajów. W tym czasie wybudowano w miarę szybko nawet dwadzieścia cztery mieszkania dla pracowników i kadry kierowniczej. W dobie transformacji tartak stał się częścią koncernu meblarskiego Black Red White.

Oczywiście życie gospodarcze w Obrzycku nie byłoby pewnie przez dziesięciolecia możliwe gdyby nie powstała tutaj, prężnie oddziałująca na sąsiednie miejscowości Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”, zwana w skrócie „GS”.

Obok niej rozwijała się także relatywnie sprawnie prywatna działalność gospodarcza oraz rzemiosło.

Poprzestanę jednak na tych informacjach, wszak nie o biznesie ale o ludziach w miasteczku chciałbym nieco więcej napisać.

Najważniejsi są ludzie

Jakkolwiek to banalnie zabrzmie, społeczność lokalną tworzą pojedynczy ludzie. Rzecz to infantylnie wręcz oczywista, a jednak warto zwrócić uwagę na równie oczywistą prawdę, iż głębsze poznanie poszczególnych historii ludzkich oraz miejsc, z których przybyli do Obrzycka jest samo w sobie bardzo interesujące, a w poszczególnych przypadkach nawet intrygujące. Warto bowiem zdać sobie sprawę z faktu, że ujawnione wcześniej w różnej formie wspomnienia ludzi tworzących - także w nieco dłuższej perspektywie czasowej - społeczność miasta, życie gospodarcze, sportowe oraz w szerokim ujęciu kulturalne, wizualizują szczególny proces, a jednocześnie służą względnie skutecznemu utrwaleniu ludzkich przeżyć, dramatów, różnorodnych dylematów oraz - na szczęście także - radości w wymiarze indywidualnym oraz zbiorowym.

Wspomnienia ludzi, którzy po wielu latach tutaj, właśnie po wojnie, skutecznie (niekiedy po raz drugi, bo w chwili wypędzenia nie było to takie oczywiste!) zapuścili w Obrzycku swoje korzenie.

Godzi się również utrwalić wspomnienia osób, które dopiero po wojnie przybyły do Obrzycka, by tutaj zbudować dla siebie i dla swojej rodziny „drugi dom”, a dzisiaj są z tym miasteczkiem nierozzerwalnie związani, tworząc jego szczególny charakter i klimat, wydając na świat wspaniały „owoc”. Można wręcz w tym kontekście przywołać treść tablicy pamiątkowej, umieszczonej w kruchcie kościoła p.w. św. Jacka w kiedyś wojewódzkim Słupsku

na Pomorzu, a poświęconej wprawdzie przesiedleńcom z utraconych Polskich Kresów Wschodnich, to jednak jej przekaz pasuje „jak ulał” do powojennych mieszkańców Obrzycka.

Wyrwany - w kontekście losów ludzi z Obrzycka - fragment brzmi; „.... *tym, którzy tutaj znaleźli swój drugi dom, a często także miejsce wiecznego spoczynku*”. Ale przytoczyłem to skojarzenie tylko tak na marginesie.

Na dwóch obrzyckich cmentarzach (parafialnym oraz tym położonym bezpośrednio przy kościele) wielu bowiem z pośród nich dzisiaj spoczywa już po trudach bogatego życia, dając świadectwo swojego zaangażowania w rozwój Obrzycka, a jeszcze częściej walki o przywrócenie niekwestionowanej polskości Wielkopolski w trakcie Powstania Wielkopolskiego oraz II-giej wojny światowej.

Konieczne są więc, chociażby wyrwykowe relacje oraz owe zapiski dla „potomnych”, ale i dla wspominających, a także ich rówieśników *“non ad vanam captandam gloriam, non sordidi lucri causa, sed quo magis veritas propagetur”*. (Co znaczy; Nie dla pustej sławy i brudnego zysku, lecz by prawda wyraźniej się ujawniała), by wnuki się dowiedziały oraz pamiętały. Bowiem jak mawiał ks. Jan Twardowski²; ...”*Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą*”... a wraz z nimi gasną i przemijają nie utrwalone ich wspomnienia, przeżycia, a w konsekwencji ulatuje bezpowrotnie pamięć o nich oraz o dziełach, które w swoim życiu zrealizowali.

² Twardowski J., „*Śpieszmy*” - wiersz

Tak więc, jak śpiewali dwaj „Starsi Panowie” w piosence kabaretowej ...”*Szanujmy wspomnienia, poznajmy ich treść, nauczmy się je cenić...*” - bo to jest nasza powinnością największą.

Pisząc te słowa mam oczywiście świadomość zdecydowanie [niestety!] małej wiedzy na temat Obrzycka i ludzi tu mieszkających, wszak z tym miastem związany jestem (i to w jakimś sensie pośrednio) od kilku ledwie dziesięcioleci poprzez moich teściów, Janinę Schmidt zd. Szydłowską oraz Leonarda Schmidta (których już dzisiaj wśród nas nie ma) oraz pozostałych członków rodziny mojej żony Ewy.

Oczywiście w największym stopniu siłą sprawczą moich związków z tym urokliwym miasteczkiem i głębszego zainteresowania nim była moja Ewa.

Ale to właśnie ta rodzina, z jednej strony mnie intryguje, a z drugiej jest doskonałym przykładem na udowodnienie postawionej przeze mnie wcześniej tezy o szczególnej specyfice miasteczek wielkopolskich, będącej pochodną między innymi zaborów oraz ekspansji niemieckiej na tym obszarze w minionych wiekach.

Pozwoliłem sobie zatem (i będę czynił to nadal w tym opowiadaniu) podierać się w opisach moich obserwacji historii oraz teraźniejszości także rodzinnymi przekazami, w niektórych przypadkach dokumentami oraz fotografiami rodzinnymi m.in. obrzyckich Szydłowskich, Schmidtów, Szmytów, Królów, Tomalów czy Apelkowskich.

Zauważyłem także (czemu dałem już wyraz), że z konieczności, ale także z własnego wyboru subiek-

tywnej perspektywy, z pierwszych lat mojej pośredniej „obecności” w przestrzeni tego miasteczka, odnoszę wrażenie (także ze słyszenia), jakoby połowa ludności Obrzycka była z sobą pośrednio lub bezpośrednio spokrewniona, ewentualnie spowinowacona. To oczywiście okazało się po części tylko „złudzeniem optycznym”, ale jakieś (a nawet duże) ziarno prawdy w tym jednak jeszcze dzisiaj pozostało. Skoro bowiem słyszałem w trakcie luźnych opowieści o bliższych lub dalszych powiązaniach rodzinnych ze Schmidtami i Szydłowskimi tak wielu nazwisk i postaci w Obrzycku (np. Szarata, Szmyt, Sadowczyk, Król, Józwiak, Maćkowiak, Kasprzak, Tomala, Kaczmarek i ... to jeszcze nie wszystkie). Doprawdy trudno nie ulec wrażeniu, że na tak małym obszarze tej rodziny jest „aż gęsto”. Oczywiście inne rody obrzyckie mają bardzo podobnie. Do tego wątku jeszcze wrócę, wszak to jest wyróżnik miasteczek o tak utrwalonej społeczności lokalnej.

Dlatego formułę - jaką przyjąłem pisząc ten tekst - oparłem o założenie, że temat przeżyć oraz korzeni rodziny mojej żony z wielu względów może być (w jakimś wymiarze oczywiście) interesujący dla większej liczby osób niż tylko członkowie jednej, bliskiej mi rodziny, mających podobne lub tożsame przeżycia związane bezpośrednio lub pośrednio z Obrzyckiem (a w pewnym okresie także podkieleckim Jędrzejowem).

Z drugiej zaś strony, nie mam ambicji ani odwagi sądzić, że tekst ten chociażby w istotnej części dopełni wiedzę mieszkańców oraz innych czytelników.

ków o ich miasteczku. Każda tutejsza rodzina ma przecież w sposób naturalny swoją historię oraz naprawdę, zazwyczaj subiektywne przekazy i anegdoty rodzinne.

Moim marzeniem i zamiarem było niejako, co najwyżej nieśmiało zainicjowanie lokalnej, wręcz „wewnątrzrodzinnej” dyskusji oraz zainspirowanie do indywidualnych wspomnień i opowiadań w małych gronach Obrzyczan na tematy ich miasteczka, ludzi oraz spraw z nimi związanych. A to, że będę opierał się przede wszystkim na wspomnieniach moich najbliższych, temu celowi tylko miało posłużyć, by nie zawężyć tematu, a częściej by nie popełnić jakiegoś *faux pas*.

Na ile moje zamiary oraz dążenia przekują się w rzeczywisty sukces oczywiście oceniać to być może potencjalni czytelnicy.

Wspominałem o tym chwilę wcześniej, że w Obrzycku – pomimo zauważalnego wpływu wielkopolskiej kultury z kręgu regionu szamotulskiego - nie wszyscy się urodzili oraz, że nie wszyscy mieszkają tutaj nieprzerwanie od wielu pokoleń. Co oczywiście nie kwestionuje istnienia tutaj odrębnej, rdzennej grupy etnicznej, dzisiaj jednak o niewyraźnych już zarysach owej odrębności. Warto mieć również to na



względnie by kilka procesów lepiej zrozumieć.

Między innymi pradziadkowie mojej Ewy przybyli do tego urokliwego miasteczka - by tutaj żyć i wydać potomstwo - niekiedy z różnych odległych od Wielkopolski stron.

I tak; Dziadek Józef Szydłowski [rocznik 1894] (na fotografii na poprzedniej stronie) urodził się na przykład w herbowej, ziemiańskiej rodzinie Wielkopolskiej, w rejonie Murzynowa Leśnego, w Dżazgowie (dzisiaj gmina Krzywokost), w pobliżu Środy Wlkp. To w sumie dosyć blisko Obrzycka.

Kiedy jednak jego ojciec Stanisław Szydłowski w przedziwnych okolicznościach stracił swój pałac w owym Murzynowie, rodzina Szydłowskich [babcia Barbara Szydłowska zd. Grodzka oraz dzieci; Józef, Franciszek i siostra] musiała zamieszkać we wspomnianej Środzie Wlkp. W tym domu do końca pozostała tylko najmłodsza w rodzinie, siostra dziadka Józefa, po mężu Orcholska.

Co tu kryć, pradziadek Ewy miał iście pański gest, a po trosze także duszę hazardzisty, ale szczęścia w kartach pewnego razu niestety nie miał. Ale to tylko co najwyżej epizod rodzinny, a nie istotny fakt historyczny.

Kiedy dziadek Józef Szydłowski ożenił się z babcią Weroniką zd. Klamerek jako młode małżeństwo - zamieszkali na początku wieku (czyli już ponad 100 lat temu) w Obrzycku. Od tego momentu historia rodziny zaczęła „pokrywać” się z historią miasteczka. Powiem więcej, mam wrażenie graniczące z pewnością, że dziadek Józef Szydłowski miał niemały wpływ na ową historię minionego

stulecia, a nawet aktywnie tworzył do końca lat czterdziestych ubiegłego wieku ową relatywnie współczesną rzeczywistość.

Tutaj, z myślą o swoich dzieciach (Józefie [bardziej znaną jako Juta], Kazimierze, Wandzie oraz Krzysztofie [bo najmłodszej Janiny w 1933 roku nie było jeszcze wówczas na świecie]) kupił w krótkim odstępie czasowym kolejno kilka domów wzdłuż tej samej pierzei obrzyckiego Rynku. Jako pierwszy w zasobach rodzinnych znalazł się, kupiony od Niemca, budynek przy Rynku pod numerem 10. Tam też w 1923 roku dziadkowie otworzyli swój pierwszy sklep z artykułami spożywczymi oraz drogeryjnymi. Głównym imperatywem jego uruchomienia była ponoć niechęć dalszego kupowania „u Żyda”.

Ten ich niewielki sklepik funkcjonował na tyle prężnie (w czym paradoksalnie wydatnie pomogła ekspansja sówki-choinówki w okalających Obrzycko lasach oraz dalszych rejonach Puszczy Nadwarciańskiej i Nadnoteckiej, kiedy to przyjezdni robotnicy leśni, ratujący drzewa i poszycie leśne okazali się doskonałymi klientami sklepu), że możliwy było zakup w 1932 roku – o czym wspomniałem – od obrzyckich Żydów wyjeżdżających do Palestyny kolejnych domów [przy Rynek 12, 13 oraz 13a].

Finalnie, w kompleksie budynków (dom i budynki użytkowe), w narożniku Rynku oraz obecnej ulicy Kruppika, dziadek Józef Szydłowski urządził swój kolejny sklep kolonialny, w którym sprzedawał wiele produktów, także własnej „wytwórczości” z przydomowej manufaktury (m.in. mydełka, alkohole i).

Stając się w ten sposób znamienitym obywatelem, także przedwojennego Obrzycka.

Dziadek Józef był człowiekiem zdecydowanie towarzyskim i rodzinnym. W owych sklepach sprzedawał nie tylko dziadek Józef z babcią Weroniką, ale także brat dziadka Franciszek Szydłowski, brat babci Weroniki – Roman Klamerek oraz pani Jadwiga Michalska. W domu Szydłowskich natomiast pracowali inni mieszkańcy Obrzycka i okolic. Bo warto dostrzec, że Szydłowscy żyli wówczas jak mieszczanie, że tak powiem; po pańsku.

Państwo Szydłowscy byli bardzo otwarci, szczególnie na towarzystwo znamienitych gości, takich jak chociażby poprzednik wspomnianego księdza Edmunda Dolczewskiego, ksiądz proboszcz Paweł Dziubiński. Ten – podobnie jak dziadek Józef – Powstaniec Wielkopolski, bywał częstym gościem, a w czasie owych spotkań (kiedy nie grali w gry salonowe, ale też i w tracie nich) rozmowy toczyły się o sprawach natury patriotycznej oraz niepodległościowej, wszak obaj mieli jednakie poglądy, oceny bieżącej sytuacji oraz pragnienia względem Wielkopolski i naszego kraju.

W środowisku Obrzycka rangę dziadka Szydłowskiego oraz jego brata Franciszka podnosiły, a nawet zaciekawiały sąsiadów także wizyty tutaj ich matki Barbary, mieszkającej wówczas nadal we wspomnianej Środzie Wlkp.

Zajeżdżała owa prababcia mojej żony, okazałym powozem, zaprzężonym w dwa piękne konie, a ona sama epatowała drogocenną (w przewadze złotą), z

oddali nawet dostrzegalną biżuterią, co rzecz jasna robiło na wszystkich ogromne wrażenie.

O jakości i rodzaju tych wrażeń nie będę się jednak rozpisywał. No bo – jak to zwykł żartować mój szwagier Jurek - kto bogatemu zabroni?

Wróćmy jednak do dziadka Józefa Szydłowskiego, bo postać to była doprawdy wyjątkowa, a do tego wielkiego serca.

Z rodowych posiadłości we wspomnianym Murzynowie przeniósł się niejako z konieczności i na relatywnie krótko do wielkopolskiego Wielenia, gdzie podjął pierwszą swoją pracę administracyjną u zarządcy majątku ziemskiego Arndtowo.

Tam poznał urodzoną w pobliskim Rosku Weronikę Klamerek i wziął z nią w Wieleniu ślub.

Były to - obiektywnie rzecz ujmując – wówczas trudne czasy dla lokalnych robotników rolnych i parobków w pobliskich wiosek, więc ci aby wyżyć rodziny zmuszeni byli chadzać nocą na szaber „z pańskiego pola”. By – jak mówię - poprawić swój codzienny byt.

Dziadek Józef jednak, z jednej strony zmuszony był służbowo takim praktykom przeciwdziałać ale jednocześnie nie chciał zrobić krzywdy tym „znanym złodziejom”. Mając więc wiele zabawnych pomysłów na podorędziu wpadł na koncept by (wykorzystując smutny fakt, że krótko przed jego przybyciem do majątku w Wieleniu zmarł bardzo młodo syn tego właściciela ziemskiego) rozwiązać problem „bezboleśnie” i na dłużej skutecznie, nie szkodząc przy tym nikomu. Osiodłał więc ulubionego, białego konia młodego dziedzica, ubrał się w długi jasny

plaszcz „taki co to do kościoła” i w środku nocy, a precyzyjniej o tej porze, kiedy „rabusie” zazwyczaj buszowali po pańskich polach, pogalopował w teren, okrążając z pewnej odległości owe pola i okoliczne zagajniki. Stukot końskich kopyt, jasna i zamglona postać na koniu zmarłego dziedzica zrobiła na owych rabusiach piorunujące wręcz wrażenie. Dostrzegli bowiem „ducha” strzegącego swoich włości, więc już nigdy lub bardzo długo nie mieli odwagi niczego z tych pól nocą podbierać. Jednak dziadek Józef tego dokładnie i długo już nie kontrolował bo po ślubie z babcią Weroniką – o czym wspominałem - zamieszkali w Obrzycku.

Krótko po tym fakcie (30 grudnia 1918 roku, a więc już po wybuchu Powstania Wielkopolskiego), w Obrzycku uformowała się samorządnie Rada Ludowa, na czele której stanął Stanisław Bruch. To owa Rada właśnie, na początku stycznia 1919 roku powołała tzw. Straż Ludową dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa.

Jako młody jeszcze człowiek, przystąpił dziadek Józef Szydłowski do oddziału Powstańców (w sile 38 ludzi, pod dowództwem Józefa Szramy) wyruszającego 10-go stycznia 1919 roku z Obrzycka, a podążającego na pomoc walczącym Wielkopolanom na froncie północnym – zwycięskiego jak się ostatecznie okazało - Powstania Wielkopolskiego. Ten pododdział z dziadkiem Józefem w składzie brał udział w wyzwoleniu m.in. Czarnkowa, rodzinnej miejscowości babci Weroniki - Roska, Gulcza oraz Wrzeszczyny (to wszystko w okolicach Wielenia).

Obok niego w Powstaniu walczyli także panowie, których nazwiska (za sprawą ich potomków) do dzisiaj są obecne w przestrzeni publicznej miasteczka. O nich jednak za chwilę.

W czasie tych walk dziadek (m.in. mojej żony Ewy) został poważnie ranny. Ta nie zaleczona w wystarczającym stopniu rana (odłamek kuli cały czas tkwił w ciele Powstańca, w okolicach brzucha) po kolejnych trzydziestu latach była pośrednią przyczyną jego śmierci na stole operacyjnym.

Wcześniej jednak żył intensywnie, wesoło (bo bywał często duszą towarzystwa) i przysparzał rodzinie wielu zaszczytów. Jako znamienity i szanowany kupiec był – o czym już wspomniałem – wybrany swego czasu nawet kolejnym Królem Bractwa Kurkowego, a po wojnie (po powrocie „z zsyłki” w Jędrzejowie) ponownie prowadził w tym samym miejscu swój sklep.

Bardzo wcześniej, bo ledwie w rok po zakończeniu wojny (25 sierpnia 1946 roku) w wieku zaledwie 49 lat zmarła babcia Weronika.

Dziadek Józef Szydłowski miał dar do kreowania zdarzeń tyleż niezwykłych co zabawnych. Zupełnie niechcący, kolejny raz wywołał sytuację, która wielu w pierwszej chwili przeraziła, ale w przekazach rodzinnych opowiadana jest jako dobry (choć jak podkreślam, niezamierzony!) żart.

Działo się to w noc sylwestrową, w ledwie kilka miesięcy po śmierci babci Weroniki (w noc z 31 grudnia 1946 na 1-go stycznia 1947).

Józef Szydłowski, po wizycie w obrzyckim kościele oraz modlitwach za spokój duszy zmarłej, udał się

na pobliski cmentarz by odwiedzić grób ukochanej żony.

Pewnie zabawiał tam na tyle długo, że w drodze powrotnej nieomal natknął się na wracających już z zabawy sylwestrowej lub z prywatki na „Berlinku” ludzi. Ci, widząc jasną postać (podobnie jak w Wieleńiu dziadek ubrany był bowiem w długi jasny płaszcz i kapelusz) wychodzącą z cmentarza poważnie się wystraszyli. Oczywiście pewnie wypity wcześniej alkohol ów strach dodatkowo spotęgował. W każdym razie dziadek Józef miał niemałą, chociaż zupełnie nie zamierzoną uciechę, czego o „sylwestrowych gościach” powiedzieć raczej nie można było.

Dziadek zmarł 12 lutego 1950 roku. Najmłodszą z rodzeństwa, Janką Szydłowską (moją późniejszą teściową – przyp.), po śmierci ich ojca na szczęście zaopiekowała się nieco starsza siostra Kazia, już wówczas Pani Król.

Drugi z pradziadków Ewy i jej rodzeństwa, dziadek mojego teścia Leonarda oraz ciotek Ireny i Stefanii, Józef Schmidt (obaj pradziadkowie nosili takie samo imię – to tak dla porządku), pojawił się wraz z żoną Emilią oraz pozostałą rodziną w Obrzycku w ramach – wspomnianej przeze mnie wcześniej - najdłuższej wojny nowoczesnej Europy, kiedy to rdzennie lub częściowo (w tym przypadku „po mieczu”) niemieckie rodziny zasiedlały Wielkopolskę. Tutaj urodziły się pozostałe ich dzieci.

W konsekwencji w Obrzycku (przy ulicy Stawnej, w miejscu gdzie czas jakiś temu pobudowali swojego „bliźniaka” moi szwagrowie Włodek i Jurek Schmidt)

zamieszkali z córkami; Ireną, Agnieszką, Marią oraz z synami; Leonem (to dziadek Ewy), Czesławem i Stanisławem.

Prababcia Emilia Schmidt zd. Majewska była oczywiście Polką, przez co nie stanowili oni tak zupełnie i czysto niemieckiej rodziny, której nakazano (a może to był ich dobrowolny wybór?) osiedlić się w Obrzycku. Faktem niezaprzeczalnym jednak jest – o czym wielokrotnie wspominał mój teść, a jego wnuk Leonard Schmidt - że pradziadek Józef do samej śmierci nie mówił zbyt wiele po polsku. To samo w sobie było znamienne.

Prababcia Emilia natomiast pielęgnowała polską mowę (znając oczywiście perfekcyjnie język męża, by się z nim swobodnie porozumiewać), czym szybko zyskała sympatię oraz szacunek sąsiadów, pomimo zdecydowanie niemieckiego nazwiska oraz okoliczności w jakich jej najbliższa rodzina znalazła się w tym małym miasteczku, w późniejszym „Kraju Warty”.

Wartościowym wyróżnikiem Schmidtów w Obrzycku były ożenki kolejnych mężczyzn w rodzinie. Pradziadek Józef, powtórzę to raz jeszcze, (pomimo bycia rdzennym Niemcem) ożenił się z panną Emilią Majewską, dziadek Leon ożenił się z panną Joanną Kozłowską z Dobrogostowa, syn dziadka Józefa, a mój teść Leonard Schmidt pojął za żonę pannę Janinę Szydłowską z Obrzycka. Warto jednak zauważyć, że z każdym pokoleniem z takich polsko-niemieckich małżeństw rodziły się dzieci z coraz to mniejszą „domieszką” krwi niemieckiej, a z coraz większą przewagą zawartości

krwi, że tak powiem; „wielkopolskiej”. Niezmiennie dziedziczono tylko nazwisko, nie kwestionując jednocześnie w żadnym przypadku swojego pochodzenia „po mieczu”.

Także panny Schmidt (między innymi siostry mojego teścia, Leonarda Schmidta) wychodziły za mąż za „naszych”. Maria Schmidt (bardziej znana w rodzinie jako Irena) pojęła za męża Romualda Rąckiego, a młodsza Stefania wyszła za Zbigniewa Mojsa. Także bracia mojej Ewy, noszący nazwisko rodowe Schmidt „poszli tą drogą”

Na ile to było ważne? W mojej subiektywnej ocenie było to w szczególnych okolicznościach bardzo istotne. Mówię o sytuacji, w której w pierwszych dniach II-giej wojny w 1939 roku (wszak już 1-go września 1939 roku saperzy wysadzili strategicznie tutaj mosty na Warcie oraz Samie, a pomimo tego 5-tego września niemieccy żołnierze, przeprawiając się łodziami przez rzekę [w sytuacji zniszczonych wcześniej mostów – przyp.] od strony Zielonejgóry i Piotrowa, zajęli to miasteczko). Już wyjaśniam jaki to ma związek.

Po wkroczeniu w rejon Obrzycka niemieckiego okupanta, dziadek mojej żony, Leon Schmidt z narażeniem swojego życia, a pewnie także losu swojej najbliższej rodziny, odmówił podpisania tzw. „volkslisty”, by uszanować niekwestionowaną polskość swojej żony (przypomnę, babci Joanny zd. Kozłowskiej rodem z Dobrogostowa) oraz pozostać lojalnym wobec większości swoich polskich sąsiadów, teraz już w swojej miejscowości rodzinnej. Był do tego (podpisania owej volkslisty – przyp.) zobo-

wiązany na mocy niemieckiego prawa, pomimo faktu – o czym także wspomniałem – swoich narodzin już w Obrzycku.

Ja również przeprowadziłem swego czasu swoisty test na zwartość „niemieckości” w żyłach i mentalności mojego teścia, Leonarda.

W okresie kiedy tak modne były w pierwszych latach transformacji ustrojowej w Polsce wyjazdy do Niemiec na tzw. „pochodzenie”, zapytałem w żartach ojca Ewy, co powiedziała by gdybyśmy z rodziną wyjechali do „Rajhu” w poszukiwaniu „miodu”, korzystając z niemiecko brzmiącego nazwiska oraz rodowodu jego wielu przodków?

Przez delikatność nie powtórzę tego co mi w tamtym momencie powiedział, ani nie opiszę jak na tak zadane pytanie zareagował. Oczywiście jako oficer Marynarki Wojennej nie miałem najmniejszego zamiaru w tamtych okolicznościach wyjeżdżać z kraju do Niemiec i to w taki sposób. Mój teść za to, jednoznacznie udowodnił mi na forum rodziny swój patriotyzm oraz swoją stuprocentową polskość. Byłem i pozostałem z niego naprawdę dumny za tę postawę, i za wiele innych przejawów patriotyzmu lokalnego.

Takich przykładów w naszej rodzinie oraz rodzinach innych Obrzyckich mógłbym przytoczyć bez wątpienia wiele. Pozostawiam to jednak ewentualnym czytelnikom, by nie odbierać im tej przyjemności.

Pozwolę sobie jednak wrócić do członków mojej rodziny oraz wielu nazwisk Obrzyckich w dalszej części tego opowiadania.

Chwała bohaterom

Pomimo zaakcentowanego wcześniej pozytywnego procesu integracji lokalnej społeczności Obrzycka, nie wszystko i nie zawsze szło tak przyjaźnie i bezproblemowo.

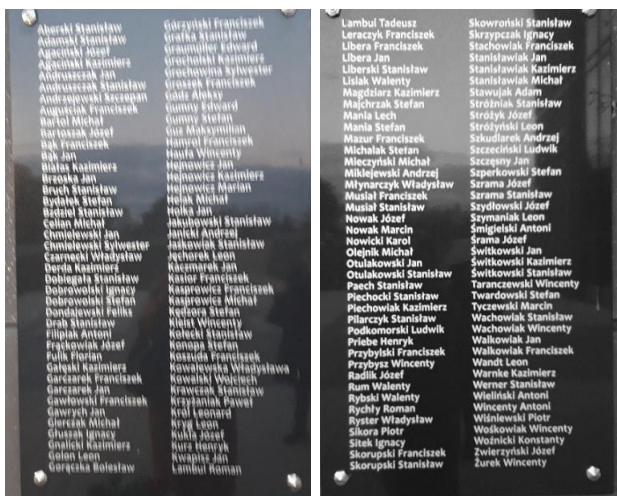
Wspomniałem przecież o obrzyckich Powstańcach Wielkopolskich, którzy zmuszeni byli walczyć o polskość swojej ziemi i obalenie pruskiej oraz niemieckiej dominacji w Wielkopolsce. To czas dwóch wojen światowych i ich tragicznych skutków.

To wreszcie czas, kiedy mieszkańcy Obrzycka oraz Ziemi Obrzyckiej zostawali ze zdwojoną siłą bohaterami, którzy zapisani zostali złotymi zgłoskami w historii Polski, a przynajmniej Wielkopolski.

Możliwie unikając powtórzeń przypomnę tylko grupę trzydziestu ośmiu Powstańców Wielkopolskich, którzy skrzyknęli się i jako przedstawiciele Ziemi Obrzyckiej wyruszyli w styczniu 1919 roku do Powstania na front północny. Walczyli tam dzielnie o polskość w imieniu i w obronie swoich rodzin oraz sąsiadów z Obrzycka, Piotrowa, Słopanowa, Kobylnik, Dobrogostowa i innych sąsiednich, podobrzyczych miejscowości.

Ich nazwiska powtarzane (w różnej, często utrwalonej w materii formie) są do dzisiaj. Na przywołanej już przeze mnie imiennej tablicy upamiętniającej, umieszczonej na nowym budynku Urzędu Gminy Obrzycko odnajdujemy nazwiska tych, którym Polska jest wdzięczna, jeszcze po ponad stu latach i jak sądzę po wsze czasy. Godzi się więc bym i ja je utrwalił na stronach tego opowiadania, bo na-

Ważne w tej kwestii jest także to, że wiele z tych nazwisk nadal pojawia się w przestrzeni publicznej Obrzycka i w ten sposób afiliowane są po raz kolejny nazwiska Powstańców, będących ich bohaterскими dziadkami, a jeszcze częściej pradziadkami. Należy o nich pamiętać, bo potomkowie m.in. Stanisława Brucha, Kazimierza Derdy, Józefa Szydłowskiego, Leona Golona, Jana Gawrycha czy Henryka Pribe (oraz wielu innych pośród wymienionych na tych tablicach) godnie i dumnie zaświadczaą o ich bohaterstwie.



Nazwiska uczestników Powstania Wielkopolskiego wywodzących się z Ziemi Obrzyckiej, wymienione bez podziału na walczących w 38 osobowym pododdziale na froncie północnym oraz tych, którzy brali udział w Powstaniu w innej formie.

Na umieszczonym poniżej (ponownie) fragmencie tablicy pamiątkowej z budynku Urzędu Gminy odnajdujemy wiele nazwisk, które nosili i jeszcze dzisiaj noszą uczniowie obrzyckiej szkoły podstawowej dumnie wyróżniające się imieniem patrona, „Powstańców Wielkopolskich”. Pewnie więc (tego tak dokładnie nie sprawdzałem, a kierowałem się jedynie wycinkowym wykazem absolwentów tej szkoły, zawartym w okolicznościowej publikacji Pana Łybackiego) są lub byli oni licznie potomkami bohaterskich Powstańców.

Biało czerwony czy granatowy

Na tablicy upamiętniającej Powstańców Wielkopolskich, zawieszanej na frontonie nowej siedziby Urzędu Gminy Obrzycko brakuje jednego nazwiska. Ten zagubiony element ma swoją historię. Daleki jestem od formułowania jakichkolwiek ocen tej postaci, wszak nie do mnie należy ocena faktu pominięcia tego nazwiska na owej tablicy.

Tym bardziej nie chciałbym poddawać pod wątpliwość zasług kogoś, kogo syna, synową oraz wnuki dobrze poznałem.

Faktem niezaprzeczalnym jest, że heroizm Powstańca Wielkopolskiego wyraźnie koliduje z niechlubną służbą w tzw. „policji granatowej”.

Przypomnę bowiem, że owa polska policja lokalna, opłacana z funduszy polskich samorządów podlegała w czasie wojny na okupowanym terenie nie-

mieckim komendantom, a więc była bez wątpliwości na usługach okupanta.

Czy zatem godziło się zgłosić akces do takiej formacji będąc wcześniej bohaterskim żołnierzem, walczącym w Powstaniu u boku mieszkańców z Obrzycka o polskość Wielkopolski, a następnie służąc niemieckiemu okupantowi w procesie zniewolenia tej samej Wielkopolski?

Bez wątpienia, była to jego w pełni świadoma decyzja i jako taka godna jest potępienia, a nawet wykreślenia z grona zasłużonych dla Polski, a szczególnie dla Wielkopolski. To oczywiście nie przynosi ujmy członkom jego późniejszej rodziny, bo oni niczemu z racji wieku nie są winni.

Mam do tego stosunek osobisty, wszak moja matka, o imieniu Idalia – będąca wówczas nastoletnim świadkiem tamtych wydarzeń - opowiadała mi kiedyś, że na Polskich Kresach Wschodnich (na południu województwa Wileńskiego), kiedy Niemcy wkraczali na tamte tereny w pierwszych dniach wojny niemiecko – bolszewickiej, młodzi ludzie witali ich ukwieconymi bramami oraz na początku ich inwazji nawet bardzo chętnie wstępowali do tamtejszej policji granatowej. Oczywiście przy braku komunikacji oraz przepływu wiarygodnych informacji z dotychczasowych frontów na ziemiach polskich, taka decyzja podyktowana była spontaniczną chęcią walki z bolszewickim okupantem, który mieszkańcom Wileńszczyzny kojarzył się tylko z okrucieństwem, a okupant niemiecki wydawał się wówczas przez bardzo krótki czas wyzwolicielem.

Tak więc tamtych młodych ludzi można jakoś i do pewnego stopnia wytłumaczyć.

Tymczasem kogoś, kto miał zdaje się pełną wiedzę na temat poczynañ i okrucieństw Niemców w Polsce oraz w jego rodzinnej miejscowości, ni jak nie da się zaliczyć do grona wielkopolskich bohaterów.

Kim więc był ów Obrzycczanin, biało czerwonym czy z charakteru granatowym osobnikiem, kierujących się życiowym koniunkturalizmem i pokrętną pragmatyką?

Wiedział on (celowo unikam przywoływania tej postaci po nazwisku, z uwagi na jego potomków), że w jego rodzinnym Obrzycku mieszkają – obok „starych” oraz zasiedlających ten teren od niedawna napływowych Niemców - polscy sąsiedzi, którzy znali jego powstańczą przeszłość. Czym więc kierował się w trakcie podejmowania tak fatalnej w skutkach dla jego najbliższych, nawet w kolejnych pokoleniach oraz historycznej pamięci o nim decyzji?

Spytam inaczej; Czy fakt uchronienia swojej rodziny przed wywózką do Jędrzejowa (z epizodem w więzieniu we Wronkach), tak jak Niemcy uczynili to z rodzinami pozostałych Powstańców Wielkopolskich, to jest wystarczające usprawiedliwienie dla zamiany powstańczych biało czerwonych barw narodowych na złowieszcze w tym przypadku barwy granatowe, pozostające w służbie faszystowskiego okupanta?

Trudno jest to jednoznacznie ocenić, a już tym bardziej zakwestionować słuszość wykluczenia go

z pamięci o bohaterskich Powstańcach Wielkopolskich.

Bohaterstwo mieszkańców Obrzycka zawierało się nie tylko w czynnej walce w okresie Powstania Wielkopolskiego. Także okres II-giej wojny światowej zbudował nowych bohaterów, chociaż nie oni byli inicjatorami ani dobrowolnymi uczestnikami tego procesu.

Ta ostatnia niedziela, potem już tylko tułaczka, obozy oraz niewola

W ten zimowy poranek trzeciego grudnia 1939 roku w Obrzycku i w najbliższej okolicy od bladego świtu coś niezrozumiałego zawisło w powietrzu – wspominali ci, którzy to po wielu dziesięcioleciach jeszcze doskonale pamiętali.

Niby „zwykły”, kolejny budzący się do życia dzień wojny w Wielkopolsce, a jednak

Zdawać by się mogło, że nawet okoliczne psy nad ranem były „do księżyca” jakoś bardziej przejmująco niż wcześniej. Miasteczkiem oraz większością jego mieszkańców owładnął wręcz paraliżujący niepokój.

Byli jednak również tacy w miasteczku, którzy wówczas triumfowali i nawet nie usiłowali skrywać swojej radości.

No cóż, była niedziela lecz tego pamiętnego dnia wszystko potoczyło się zupełnie inaczej niż jeszcze tydzień temu i w poprzednie niedziele.

Zazwyczaj bowiem, tradycyjnie po śniadaniu, mieszkańcy tego niewielkiego miasteczka oraz okolicznych wiosek udawali się tłumnie do pobliskiego kościoła katolickiego w Obrzycku, Piotrowie czy Słopanowie by tam pomodlić się (jak to czynili od kilkunastu tygodni) za szybki koniec – już kolejnej w krótkim czasie na ich terenie i w ich życiu - niemieckiej okupacji.

Zaprawieni wprawdzie w większości byli w trudnych sytuacjach, bo to jeszcze żywo w pamięci mieli okrucieństwa pierwszej wojny światowej, a następnie wielu pośród nich brało aktywny udział w zwycięskim *per saldo* Powstaniu Wielkopolskim na przełomie roku 1918/1919, po którym Wielkopolska także za ich przyczyną nominalnie wróciła do Polski. A jednak za każdym razem przeżywali takie sytuacje nad wyraz głęboko, a nawet jakby inaczej .

Kilkoro z pośród ich niedawnych (jak się przecież mogło racjonalnie wydawać) przyjaciół, a wówczas już tylko wrogich sąsiadów, którzy ledwie niewiele wcześniej podpisali tzw. „volkslistę” stając się Volksdeutschami, pewnie (szczególnie członkowie kościoła protestanckiego na dzisiejszym Placu Lipowym) pod kierownictwem tutejszego superintendenta (to w organizacji luteran ktoś w rodzaju kapłana), zanosilo od jakiegoś czasu do swojego Boga gorące pragnienia oraz peany wdzięczności za rychłe i – w co w tamtym momencie święcie pewnie wierzyli – ostateczne, wielowiekowe zwycięstwo III Rzeszy nad Światem.

Dla odmiany, we wspomnianym kościele na wzniesieniu przy Warcie, ci katoliccy Volksdeutsche, z rodowodem czysto polskim, błagali wręcz - być może, ale to nic pewnego – aby dobry Bóg wybaczył im to, że ulegli słabości i wyrzekli się swojej polskości w imię chwilowych i nietrwałych przecież przywilejów z rąk okupanta.

Dopiero w następnej prawdopodobnie kolejności prosili i przepraszali Stwórcę w głębi duszy za to, co miało się stać niebawem z ich nie tylko milczącym

udziałem. Wielu bowiem spośród nich, kilka dni wcześniej z niekłamaną satysfakcją (a może tylko pod presją swojej wcześniejszej decyzji?) sporządzała dla Niemców szczegółowe listy rodzin polskich sąsiadów w Obrzycku oraz tych, mieszkających w okolicznych wioskach, którzy uchodzili za bardziej niż inni majątnych, a szczególnie rodzin osób biorących udział w walkach z odwiecznym niemieckim okupantem w trakcie tak bolesnego dla nich Powstania Wielkopolskiego oraz/lub byli żołnierzami Wojska Polskiego w formacjach ścieraających się z niemieckimi faszystami i już wówczas okupantem sowieckim w bitwach toczącej się od kilku tygodni II-giej wojny światowej.

Prawdziwi Volksdeutsche (z rodowodem rzeczywście niemieckim - przyp.) - także ci z Obrzycka - mieli łatwiej. Ponownie bowiem poczuli się Panami życia i śmierci sąsiadujących z nimi jeszcze w tamtej chwili Polaków, rdzennych mieszkańców tej ziemi, wszak to oni sami byli tutaj przecież jedynie uciążliwymi i niechcianymi „sublokatorami” na pias-towskiej Wielkopolsce, przybyłymi w ramach kolonizowania tego skrawka Polski w czasie najdłuższej wojny nowoczesnej Europy.

Nie byli tutaj nawet gośćmi. Byli zwykłymi intruzami, których w geście pojednania i wybaczenia, po odrodzeniu się Polski w następstwie zwycięskiego (co warto podkreślać wielokrotnie!) Powstania Wielkopolskiego, ich polscy sąsiedzi, a jeszcze wcześniej w wielu przypadkach Powstańcy usiłowali asymilować i przyjąć na polskich, przyjaz-

nych dla nich warunkach do swojej społeczności lokalnej.

Rdzennie polscy mieszkańcy Obrzycka mieli nawet złudne wrażenie, że w dużej mierze się to im zaczęło w dłuższej perspektywie udawać. Zawiązały się – o czym wcześniej wspominałem - nawet pierwsze polsko-niemieckie rodziny, urodziły się pierwsze w tych związkach dzieci i wszystko na pozór szło w pożądanym kierunku.

Rozwijała się korzystnie także współpraca i kształtowało się porozumienie gospodarcze na każdym z możliwych poziomów. Tylko do czasu jednak.

Przywołany wcześniej Józef Szydłowski na przykład, rozwinął się jako - w konsekwencji majątny – kupiec. Stając się nawet – o czym już wspominałem - właścicielem kilku kamienic na jednej z pierzei miejskiego rynku, co chociażby tylko z tego powodu czyniło go w odczuciu sąsiadów znanym i szanowanym obywatelem Obrzycka, okrzykniętym nawet swego czasu – przypomnę - królem Bractwa Kurkowego tutejszych, lokalnych organizacji cechowych.

Był także, tak po prostu dobrym i bohater-skim człowiekiem, nie tylko w Powstaniu.

Już w pierwszych tygodniach wojny 1939 roku odważył się pomóc jednej z rodzin żydowskich, chowając ich przez jakiś czas w podziemiach swojego sklepu przy Rynku (pod *per saldo* szczęśliwym dla tej rodziny numerem 13). Uchronił ich przed niemieckimi prześladowaniami oraz pewnie przed niechybną śmiercią w KL Auschwitz.

Oczywiście ukrywał owych Żydów z narażeniem własnego życia oraz życia swojej rodziny do

czasu, kiedy znalazł dla nich prawdopodobnie bezpieczniejsze miejsce, do którego ich osobiście pod osłoną nocy wywiózł. Ludzie ci nigdy jednak nie dali po wojnie znaku życia, więc nie jest znany rodzinie Szydłowskich ich dalszy los.

W tym samym czasie także – przywołany również wcześniej przeze mnie - Leon Schmidt rozwinął i prowadził swój warsztat stolarski. O jego pozycji na lokalnym rynku stanowił pewnie swego czasu m.in. katalog mebli własnej produkcji jaki oferował swoim klientom w Obrzycku oraz daleko poza nim. A to już było w tamtym czasie „prawdziwe coś”.

Dlaczego właśnie o nim wspominam? A no dlatego, (oczywiście poza oczywistym faktem, że był dziadkiem Ewy) ponieważ był najlepszym przykładem na poparcie wcześniej postawionej przeze mnie tezy, że wysiłki rdzennych mieszkańców miasteczka nie były zabiegiem jedynie wydumany i w konsekwencji nieskutecznym.

Do tego wątku jeszcze wrócę, bo naprawdę okazał się być późniejszy dziadek mojej żony Ewy bardzo ważną i w tamtym czasie - ale także do dzisiaj w miejskich kronikach - postacią bardziej niż chwalebna.

Ten pamiętny, mroźny dzień

Był zatem wczesny poranek grudniowy – opowiadała kiedyś moja teściowa Janina. Trudno to wprawdzie nazwać *stricte* wspomnieniami, bo miała ona w grudniu pamiętnego 1939 r. raptem cztery i pół roku, więc wiele szczegółów w naturalny sposób mogło jej umknąć, jak to małej, przerażonej dziewczynce. To jednak nie umniejszało wartości tych opowiadań. Dużo bardziej wartościowe w tej mierze były wspomnienia m.in. starszych sióstr mojej teściowej, Kazimiery, Józefy oraz Wandy. W tamtym czasie miały one po kilkanaście lat i zdecydowanie więcej potrafiły zapamiętać z tych smutnych wydarzeń.

Wprawdzie ich opowieści osobiście nie wysłuchałem ale uczyniła to wielokrotnie córka cioci Kazi, Grażyna (przywołana w tym czytańku wielokrotnie, starsza kuzynka mojej Ewy) i to właśnie ona je po latach przelała na papier. Miałem to szczęście owe zapiski zgłębić.

Moja teściowa pamiętała bez wątpienia jednak (tylko i aż) nie dającą się ukryć napiętą atmosferę w jej domu tej rozpoczynającej się ledwie niedzieli 3-go grudnia. Nawet małe dzieci nie potrafiły cieszyć się pewnie mroźnym porankiem (temperatura spadła w tym dniu poniżej minus 25, może zbliżała się nawet poniżej 30 stopni Celsjusza). Nie radował je świeżo spadły śnieg w nocy, bo wiedziały już pewnie, że tego dnia nikt nie zabierze ich na tradycyjny, zimowy kulig konny do pobliskiego lasu, z wielkimi saniami na przedzie.

Tuż za oknami ich murowanego domu rodzinnego oraz przyległego do niego niewielkiego, urokliwego budynku Szydłowskich w centrum miasteczka, zbudowanego w stylu szachulcowym - w którym mieścił się ich rodzinny sklep kolonialny - słyszać było tupot podkutych butów Prusaków oraz poszczekiwania i charakterystycznie wrogie warczenie niemieckich psów. Pobudziło to ich i natychmiast przeraziło. Nie wiedzieli jednak o co w tym zgiełku chodzi, co się szykuje, a już na pewno nie spodziewali się, że jeszcze tej niedzieli uwiecznieni zostaną w ciasnych, zawilgoconych celach „ciężkiego” więzienia w pobliskich Wronkach.

Nie mogli też przewidzieć, że przez kolejnych kilka lat nie zobaczą swojego miasteczka, bo skazani zostaną decyzją administracyjną okupanta na tułaczkę w podkieleckim Jedrzejowie, historycznie rzecz ujmując, na małopolskiej ziemi krakowskiej w niemieckiej już wówczas Guberni Generalnej.

Nie spodziewali się, że ich wieloletnia (w większości przypadków pięcioletnia – przyp.) tułaczka jest w ogromnej mierze „zasługą” ich niemieckich oraz (co gorsza!) ledwie kilka tygodni temu znienaczonych sąsiadów, z którymi przecież wcześniej żyli w zgodzie. Co więcej; którzy to niejednokrotnie właśnie im osobiście tak wiele w życiu wcześniej zawdzięczali, którzy wreszcie byli rodowitymi Wielkopolanami, bez niemieckich ani pruskich korzeni, a w tamtej chwili już tylko Volsdutschami.

Nie rozumieli tego szczególnie Powstańcy Wielkopolscy, którzy dwadzieścia lat wcześniej przelewali, także imiennie za nich lub za ich przod-

ków, krew w walce o wolną od Niemców Polskę, a w pierwszej kolejności za polską dla nich Wielkopolskę.

A teraz? Poszli na służbę do wroga w imię partykularnych, domniemanych korzyści materialnych, bo nie miało to wiele wspólnego z poczuciem honoru narodowego i dumy z bycia ...

No właśnie, kim oni w pierwszych dniach wojny byli? Czy rzeczywiście i prawdziwie czuli się Niemcami, czy tylko

To w tamtej chwili prześladowani mieszkańcy Wielkopolski, a w tej liczbie także ludzie w Obrzycku, pozostawiali sumieniu Volksdeutsche, bo sami mieli własne dotkliwe problemy, dołączając niepewność i rozliczne dylematy egzystencjalne, bo moralnych rozterek ani przez chwilę nie odczuwali.

Jedno było już wówczas całkowicie pewnym. Paradoksalnie, wysiedlane rodziny polskie z całej (jak się niebawem okazało) Ziemi Szamotulskiej bezwzględnie naznaczone zostały na wieki przez prawdziwych i tych świeżo wówczas zniemczonych Volksdeutsche godnością patrioty oraz prawdziwego Polaka. Wyrugowano ich bowiem i im najbliższych z ich domów oraz z ich ziemi za bycie Powstańcem Wielkopolskim, żołnierzem „września 1939” oraz ogólnie za ich polskość. A to jest najznamienitsza (choć w swojej formie tragiczna) rekomendacja dla Polaka tamtych czasów.

Dopiero po wojnie i po powrocie do Obrzycka dowiedzieli się o przyczynach swojej tułaczki nieco więcej. Oto okazało się, że właśnie w grudniu 1939 roku wysiedleniami objęto teren aż dwunastu po-

wiatów Wielkopolski w ramach realizacji niemieckiego planu, by jak obiecał swoim zwierzchnikom namiestnik „Kraju Warty” Arthur Greiser, zagwarantować sprowadzonym tutaj Niemcom (tzw. bałtyckim, wołyńskim i innym) blisko 20 tysięcy mieszkań i warsztatów pracy na tym terenie.

Na listach rodzin przeznaczonych do wysiedlenia znalazły się – o czym wspomniałem na wstępie - w pierwszej kolejności nazwiska Powstańców Wielkopolskich, działaczy politycznych oraz społecznych, osób o walorach przywódczych, duchowieństwa, tzw. ziemian, właścicieli fabryk, kupców, rzemieślników i zamożnych gospodarzy.

Rodzina mojej żony Ewy spełniała więc za sprawą dziadka Józefa Szydłowskiego naraz kilka warunków by ich wyrugowano z ojczystej ziemi już w pierwszym terminie.

Tragiczne jest jednak to, że ta ludzka gehenna Wielkopolan, z więzieniem we Wronkach w tle, dla niemieckiego okupanta oraz archiwisty była jedynie nieistotnym, ledwie kilkudniowym epizodem wojennym, niegodnym odnotowania i udokumentowania w stosownych, niemieckich kronikach wojennych.

Wróćę jednak do konkretnych wydarzeń w Obrzycku z pierwszych dni grudnia 1939 roku, a więc ledwie w kilkanaście tygodni od chwili wkroczenia hitlerowskich Niemców (i blisko dwa tygodnie później okupacji Sowietów) do Polski.

Okolo godziny siódmej rano nikt w murewanym domu Szydłowskich, przylegającym do ich sklepu, podobnie pewnie jak w wielu okolicznych

domach w miasteczku (m.in. w mieszkaniach Libe-
rów, Wojtkowiaków, Szramów, Woźnickich, Stroj-
nych i w wielu innych, czysto polskich domach) już
nie spał. Nasłuchiwali czujnie i przez niewielką
szparę pomiędzy zasłonami okien wychodzących
na Rynek obserwowali to co się za nimi działo. Nie
trwało to jednak długo, gdyż w brutalny sposób do
przedpokoju ich mieszkania kilka minut po godzinie
9.00 wkroczyli uzbrojeni po same zęby pruscy
żołdacy w asyście miejscowego Volsdeutscha i psa
rasy (a jakże by inaczej!) owczarek niemiecki.

W domu nie zastali jednak trzech nieco starszych
córek gospodarzy, bo te w tym czasie były na mszy
w kościele katolickim w Obrzycku. Jednak i one
podzieliły niebawem los całej swojej najbliższej
rodziny.

Późniejszy dziadek mojej żony Ewy (którego
niestety nie dane było jej poznać i usiąść mu z
miłością na kolanach), Józef Szydłowski od wielu lat
znał tego dawnego sąsiada osobiście i nigdy wcześ-
niej nie podejrzewał nawet (szczególnie mając na
względzie jego rodowód), że okaże się tak okrutny
w obliczu nowych warunków.

No cóż ludzie potrafią się skutecznie mas-
kować – pomyślał pewnie w tamtej chwili. Zrozumiał
nawet tę mądrość ludową, że okazja czyni złodzieja,
a inne, szczególne okoliczności czynią ... m.in.
Volsdeutscha.

Niemcy dali nam dosłownie kilkanaście
(może 20 do 25) minut na spakowanie naj-
potrzebniejszych rzeczy i ubranie najmłodszych
dzieci – wspomina po wielu latach Janina Schmidt

(z domu Szydłowska), jak mówię, moja późniejsza teściowa. Jej słowa potwierdzały także wówczas nastoletnie ciocie Kazia, Juta oraz Wanda (kiedyś Szydłowskie), które oczywiście zapamiętały więcej szczegółów z tego tragicznego dnia, kolejnych tygodni i lat.

Ich rodzice, pomimo tego, że ojciec był przedsiębiorczym i zapobiegliwym człowiekiem, w obliczu wojny nawet nie pomyśleli w swojej ufności do ludzi, by przygotować siebie i rodzinę do (wcześniej jeszcze tylko!) ewentualnej ewakuacji.

Nie spakowali więc zawczasu np. do kilku walizek tego co mogłoby ich zadaniem okazać się najpotrzebniejsze w niespodziewanej podróży i nie umieścili tego „majdanu” w bezpiecznym miejscu np. w magazynach swojego sklepu kolonialnego przy obecnym Rynku, pod numerem 13a.

W konsekwencji na nic pewnie to by się jednak zdało, gdyż Niemcy w tamtym dramatycznym momencie pozwolili zabrać im tylko niewielki, naprawdę daleko niewystarczający bagaż osobisty do jednej walizki. Jeden z Niemców zlitował się nad wysiedlanymi i pozwolił im zwiększyć bagaż o małą kołderkę dla dwójki najmłodszych dzieciaków.

Inna sprawa, że nie mieli w tamtej chwili najmniejszego nawet pojęcia gdzie i w jakim celu ich zabierają. Wiedzieli, że muszą zostawić dosłownie wszystko dla ... Ale to dla kogo swój dobytek zostawiają nie było pewnie dla nich szczególnie istotne w obliczu widma utraty wszystkiego, a nawet realnego jak nigdy wcześniej zagrożenia życia swojego i naj-

bliższych. Nie było nawet szans by zabrać chociażby niektóre zabawki dla najmłodszych.

Pod lufami wycelowanych w kierunku dzieci oraz dorosłych domowników karabinów, „przybysze” wypędzili z domów przerażonych ludzi, kierując ich do punktu zbornego na Rynku w rejon ratusza. Natychmiast załadowano „jeńców” w atmosferze krzyków i poszturchiwań na furmanki oraz wozy konne, które wszystkie, sukcesywnie wyruszały z Rynku w Obrzycku (jak się docelowo okazało) w kierunku Wronek. Oddalali się co raz bardziej od położonej po drugiej stronie Warty Zielonejgóry, bo wcześniej (pierwszego dnia wojny, 1-go września 1939 roku pomiędzy godz. 13.00 a 14.00,– przyp.) polscy saperzy wysadzili mosty na tutejszych rzekach Warta i Sama oraz w Stobnicku.

Owo zniszczenie przez Polaków mostów w Obrzycku nie było aktem spontanicznego sabotażu lecz przemyślaną strategią obronną wojska, w obliczu napaści Niemiec na Polskę. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na położenie miasteczka, na północnym skraju Wielkopolski w sytuacji, kiedy dosłownie kilkadziesiąt kilometrów od Obrzycka przebiegała granica wolnego po Powstaniu Wielkopolskim kraju z niemieckimi Prusami.

Z tego kierunku widoczne było realne zagrożenie szybkim atakiem wojsk hitlerowskich. Ledwie 100 km od Obrzycka Niemcy utworzyli (m.in. na terenie dzisiejszych powiatów złotowskiego [Jastrowie, Podgaje] oraz m.in. waleckiego i dalej kołobrzeskiego, tzw. Wał Pomorski.

Była to więc silna koncentracja wojsk okupanta wkraczającego do Polski od północy. Za tą tezę przemawia również fakt, że nieopodal granicy prusko-polskiej (okolice Czaplinka oraz Starego Drawska, a więc daleko od morza) Niemcy wybudowali na wysepce polodowcowego, zdecydowanie głębokiego jeziora, tajną bazę szkoleniową dla załóg niemieckich okrętów podwodnych (tzw. U-Boatów).

Likwidacja wielu mostów była więc metodą na spowolnienie spodziewanego przemarszu wojsk wroga od strony dzisiejszego województwa Zachodniopomorskiego. Ale to tylko tak na marginesie.

Opowiadam o tym po części w charakterze ciekawostki, ale także by kilka kwestii bardziej było czytelne.

Wracając jednak do wątku zasadniczego tego fragmentu mojego opowiadania. Deportowani mieszkańcy Obrzycka nie spodziewali się więc z przyczyn oczywistych, by hitlerowcy wieźli ich na przykład do pałacu Raczyńskich na Zielonejgórze . Paraliżujące zimno, płacz przerażonych maluchów oraz ta porażająca niepewność towarzyszyły im w drodze ku zupełnie niewiadomej przyszłości.

Czy jednak czekała ich jakaś przyszłość, skoro grudniowa niedziela 1939 roku przywitała ich takim horrorem? – zastanawiali się w milczeniu „podróżni” patrząc na zziębnięte malutkie dzieci, mając złudną nadzieję, że one z tego jeszcze niewiele rozumieją.

Tak dojechali skostniałi z zimna pod bramę więzienia, które od zawsze ich przerażało zdecydowanie ponurą sylwetką oraz legendami, pomiesz-

nymi z prawdziwymi relacjami więźniów. Ten przybytek w oddalonych od Obrzycka o dwanaście kilometrów Wronkach zdecydowanie nie był jakimś „badem”. To było jedyne w tych tragicznych dla siebie chwilach, co wiedzieli na pewno.

Zdezorientowani więźniowie z Obrzycka nie mieli oczywiście najmniejszego nawet pojęcia co się z nimi stanie za chwilę, za tydzień czy za rok. Byli wręcz pewni, że żadnego „jutro” czy „za tydzień” może po prostu nie być.

Nie wiedzieli bowiem (bo wiedzieć pewnie nie mogli?), że już od rana ruszały pierwsze transporty kolejowe wypędzonych ze swoich domostw Polaków z dworca kolejowego Wronki. Transporty owe (bo te były ledwie pierwsze) zorganizowano według standardów zaczerpniętych jako żywo z doświadczeń sowieckich.

Podobnie bowiem jak zesłańcy na bezkresy Sybiru, na Kołymę i Workutę, tak i ich, mieszkańców Wielkopolski umieszczono w bydlęcych wagonach bez żadnych, chociażby tylko podstawowych warunków do przetrwania. Tak w owych „więźniarkach” ulokowano kobiety i dzieci, a brutalnie oddzielonych od rodzin mężczyzn załadowano na odkryte węglarki, by niebawem ruszyć „w nieznane” przy trzaskającym mrozie.

Nie wszyscy jednak (jak się później okazało) transportowani byli do Jędrzejowa, gdzie m.in. wyznaczono nowe dla nich miejsce pobytu, często w miejsce deportowanych Żydów. Wielu pośród transportowanych nigdy nigdzie nie dojechało, gdyż po prostu zamarзли w „swoich” wagonach. Na krótkich

postojach po prostu wyrzucano z wagonów w pobliże torowiska ciała zmarłych, ich najbliższych, kochanych członków rodzin oraz polskich sąsiadów. Ci co jeszcze przeżyli, nie mogli liczyć w czasie przewożenia nawet na łyk bieżącej wody.

Część transportów przeznaczono na przymusowych robotników dla Niemców gdzieś w odległych rejonach III Rzeszy. Wielu pewnie później trafiło m.in. do Auschwitz-Birkenau, Majdanka, czy jakiegoś innego, faszystowskiego obozu koncentracyjnego lub w najlepszym przypadku do któregoś z obozów pracy. Jakaś część niedawnych obywateli tej miejscowości trafiło na tzw. „roboty” u Niemca, jako przymusowi robotnicy, czy może raczej niewolnicy u „bauera” w którymś z gospodarstw rolnych, rozsiadanych po całej okupowanej Europie.

To był czas, w którym Święty Mikołaj nie mógł przyjść do dzieci więzionych we Wronkach

Samopoczucie rodziny Szydłowskich nie zmieniła chwila, w której we Wronkach zapędzeni zostali do ciasnej (ok. 2 X 4 metry), wysokiej celi oznaczonej cyfrą 151, z małym, zakratowanym oraz wysoko osadzonym okienkiem, z jedną przytwierdzoną na dzień do wilgotnej ściany pryczą więzienną oraz siennikami z worków po pyrach, niedbale i mało intensywnie napełnionymi szorstką słomą wymieszaną ze stęchłym sianem. W odczuciach nie tylko najmłodszych owe cele kojarzyły się

bardziej z opuszczonym chlewem niż lokum mieszkalnym dla ludzi.

Dodatkowo, odczuwaną nie tylko przez dzieci grozę ich położenia wzmaczał fakt, że w większości ich cel nie było mężczyzn. Brak ojca lub dorosłego syna kazał matkom, żonom oraz zdezorientowanym i przerażonym dzieciom snuć najbardziej złowrogie i tragiczne przypuszczenia. Bali się, że już ich więcej nie zobaczą, bo prawdopodobnie wcześniej zostali rozstrzelani. Tymczasem oni byli umieszczeni w odległej celi m.in. numer 263.

Nadszedł tak długo oczekiwany kiedyś przez dzieci 6-sty grudnia, gdy to zwyczajowo przychodził do nich Święty Mikołaj, zostawiając im prezenty pod ich poduszką w łóżeczku lub w wyczyszczonych *na glanc* na ten szczególny poranek dziecięcych buci-
kach w przedpokoju. Tym razem było inaczej.



Więzienie we Wronkach. To tych murów 6-go grudnia 1939 roku nie mógł przekroczyć Święty Mikołaj

Tego roku strażnicy więzienni pewnie nie wpuścili Świętego Mikołaja do ich cel – zdaje się pomyślały najmłodsze dzieciaki. Malutka wtedy jeszcze Janka otrzymała w prezencie małą laleczkę wyrzeźbioną z kostki mydła, by miała czym bawić się w ten jakże okrutny czas.

Owa „zabawka” miała szczególną wartość, bo wyrzeźbiona była z czegoś co w swojej „pracowni” produkował w warunkach manufaktury jej ukochany tata Józef. Innych swoich zabawek do więzienia oczywiście Janka oraz nieco tylko starszy Krzysiu (miał wówczas 11 lat) nie posiadali, wszak Weronika oraz Józef Szydłowscy nie mieli czasu ani sposobności by zabrać dla nich jakiegokolwiek zabawki z ich rodzinnego domu, kiedy opuszczali go w pośpiechu, pod presją karabinów oraz nie wiedząc na jak długo ich wyrzucają. A może na zawsze – myśleli z przerażeniem, nie o swój ale o los swoich maluchów.

W tamtym momencie najważniejszym problemem było znalezienie sposobu na przeżycie rodziny do kolejnego poranka – opowiadała Janina Schmidt, posiłkując się tym co zapamiętała z przekazu swojego ojca Józefa, matki Weroniki oraz starszych od niej sióstr Wandy, Józefy oraz Kazimierzy, bo wówczas ona sama nie wszystko jeszcze jednoznacznie kojarzyła.

Zapamiętała jednak przesoloną zupę fasolową, którą dostarczyli kilka razy niemieccy strażnicy więzienni do zatłoczonych cel. Rodzice i starsze rodzeństwo ograniczali także spożywanie przez siebie głodowych racji chleba i marmolady z brukwi, by

tym sposobem nakarmić najmłodszą spośród siebie Janeczkę.

O warunkach sanitarnych nie wiele mogła moja teściowa powiedzieć, gdyż niewiele pamiętała np. na temat „kibelka” w rogu celi przykrytego deską. Jedno jest pewne. Były one fatalne, takie jakich nikt nigdy nie chciałby doświadczyć w normalnym życiu. Tyle, że tamta sytuacja nie była normalnym życiem, a jedynie koszmarne tragicznym doświadczeniem, pozostawiającym (szczególnie!) pewnie w psychice dziecka trudno zamazywalne ślady na cały czas istnienia na tym łez padole.

Trudno nazwać chwilami wytchnienia krótkie, dwójkowe spaceru po więziennym „spacerniaku”, podczas których esesmani pilnowali by „więźniowie” nie komunikowali się z sobą werbalnie. Powroty do śmierzdzących i ciasnych cel także nie był czymś na co czekali z utęsknieniem.

Po kilku dniach (bodaj 8 grudnia bo tak wynika ze wspomnień innych więźniów wronickiego więzienia) wypędzono także ich rodzinę oraz licznych sąsiadów z cel – podobnie jak działo się to codziennie przez kolejne kilkanaście dni – by zgromadzić wszystkich tym razem na placu więziennym i uformować z nich kolumnę czwórkową do wymarszu ulicami miasteczka w kierunku dworca kolejowego Wronki.

Wcześniej, dostali - jeszcze w więziennych celach - jakieś bochenki wstrętnego jak zwykle chleba oraz ową zdecydowanie przesoloną tzw. zupę fasolową. Trudno jest dzisiaj określić, czy aby

nie był to zabieg celowy, by wzmożyć łaknienie u „więźniów” wywołane nadmiarem soli, gdyż w czasie kilkudniowej podróży konwojujący ich strażnicy (o czym wspomniałem) nie pozwalali im pić wody bieżącej chociażby z kolejowych hydrantów.

Wcześniej, kiedy dziadek Józef Szydłowski wyczerpany i spragniony poprosił o trochę wody, znany jemu Niemiec z Piotrowa nazywający się Kwiran, uderzył go z całej siły pejczem. W efekcie na twarzy pobitego pojawiła się głęboka rana i krew. Ślady tego zajścia pozostały dziadkowi Józefowi do końca życia w formie szpetnej blizny.

Podróż w nieznane trwała kilka dni, a pierwsze (bo było kilka składów) blisko 1000 osobowe transporty dotarły do Jędrzejowa 10 grudnia, jakoś tak po południu.

Życie na wygnaniu

Posiłkując się wspomnieniami swojej matki Kazimiery i ciotek Wandy, Juty oraz [w mniejszym zakresie] Janki (mowa o mojej teściowej Janinie Schmidt – przyp.), Grażyna Król Węglorz opowiada, że pierwszym adresem rodziny Szydłowskich - w większości żydowskim - Jędrzejowie był dom przy ulicy Szkolnej 3, w którym to w miejsce wypędzonych do miejscowego getta jego żydowskich lokatorów, zasiedlono także inną rodzinę z Obrzycka. Mowa o Stanisławie Bruchu, bardzo chorej [przewiezionej do miejsca dyslokacji na

noszach] jego żonie Marii oraz ich wówczas dwudziestodwuletniej córce Janinie Bruch.

To właśnie z p. Janiną ciocia Kazia najbardziej i do zgonu (dosłownie!) się zaprzyjaźniła. Do końca życia w Obrzycku obie były prawdziwymi koleżankami i swoimi powierniczkami.

Po pewnym czasie rodzinę Szydłowskich przesiedlono w Jędrzejowie na ulicę Krzywą 8, a jeszcze później na skraj miasteczka (bodaj na dzisiejszą 11-go Listopada).

Z racji pewnego oddalenia nowego domu od centrum Jędrzejowa, w tamtym budynku, w piwnicy ukrywali się przez jakiś czas jeszcze (bardzo krótko wprawdzie!) i pracowali przy garbowaniu skór mieszkający tam wcześniej Żydzi, którym udawało się chwilowo uniknąć umieszczenia w miejscowym getcie lub wysłania np. do KL Auschwitz. Pewnego dnia jednak oddalili się w nieznanym kierunku i tyle było o nich do tej pory wiadomo.

Siostry (kiedyś) Szydłowskie wspominały z przerażeniem także srogie zimy w Jędrzejowie, kiedy mróz osiągał minusowe wskazania na poziomie 30, a nawet niekiedy 40 stopni Celsjusza. Tymczasem doskwierały im w tych warunkach szczególnie braki odzieży (nie tylko tej ciepłej), żywności, obuwia oraz nieustający strach przed najbliższą (nawet w perspektywie jednego czy dwóch dni) ich przyszłością.

Jakkolwiek to banalnie i dzisiaj niemodnie zabrzmi, ich jedyną oazą spokoju i duchowego wyciszenia był w tamtych okolicznościach jędrzejowski kościół pw. błog. Wincenta Kadłubka. Jak

opowiadały tylko wiara oraz modlitwa o przetrwanie dawała im chwilowe zaledwie i złudne zarazem poczucie spokoju. Ufali bowiem, że ktoś jednak nad nimi czuwa, czego najbardziej namacalnym dowodem było to, że w ogóle jeszcze żyją i mogą być tutaj nadal razem.

Ludzie wówczas – opowiada dalej Grażyna – gromadzili się w świątyni, by modlić się oraz błagać dobrego Boga o swoje szczęśliwe przetrwanie w tych trudnych okolicznościach.

W tym samym kościele pw. bł. Wincenta Kadłubka w Jędrzejowie siostry Szydłowskie otrzymały w czasie wojny także niektóre sakramenty.

I tak; trzynastego maja 1940 roku czwórka rodzeństwa Szydłowskich; Wanda, Kazimiera, Józefa oraz Krzysztof, została bierzmowana, a z kolei po kilku kolejnych latach w tamtejszym kościele pw. św. Trójcy moja późniejsza teściowa Janina przystąpiła do sakramentu Pierwszej Komunii Świętej.

Można by rzec, iż rodzina Szydłowskich od zawsze (a szczególnie w czasie tak tragicznym i niepewnym) była bardzo religijna. Nie opuszczali codziennych modlitw oraz niedzielnych Mszy Świętych, a przez szacunek dla miejsca – co panny Szydłowskie jeszcze po latach podkreślały z naciskiem – babcia Wernika nigdy progu świątyni nie przekroczyła w sukience bez rękawów, bez wcześniejszego okrycia swoich ramion.

W czasie przymusowego pobytu w Jędrzejowie „zesłańcy” imali się przeróżnych prac i zajęć,

by tylko stworzyć sobie jakiekolwiek warunki do przetrwania i przeżycia.

Kazimiera Szydłowska na przykład przez pewien czas pomagała przy pracach kuchennych w domu starosty jędrzejowskiego. Na szczęście – jak po latach wspominała – był to człowiek wyróżniający się taktem oraz kulturą bycia, przez co traktujący służbę domową z szacunkiem i sympatią.

Głowa domu, dziadek Józef Szydłowski żeby zarobić jakieś pieniądze na utrzymanie rodziny, pracował w Jędrzejowie jako stróż nocny, a babcia dbająca o całość rodziny i porządek w domu w tym czasie ręcznie uszyła dla najmłodszej Janki płaszczyk.

Starsze z rodzeństwa pomagały rodzicom w ten sposób, że w różnych domach opiekowały się innymi, młodszymi od nich dziećmi, m.in. za jedzenie, które przynosiły także do swojego domu. Dla przykładu; ciocia Kazia po pracy u starosty opiekowała się Jurkiem i Włodkiem Paul, u rodziny z Gaju Wielkiego, a ciocia Juta pomagała w ochronie dla dzieci, prowadzonej przez siostry zakonne.

Wanda Szydłowska pracowała natomiast jako niańka do dzieci u niemieckiego dygnitarza Fricka von Balusca w pobliższych Szczekocinach. Do jej przeżyć wróć za chwilę, w osobnym podrozdziale tego „czytadła”.

Dlaczego tak szeroko opisuję wojenne przeżycia rodziny Szydłowskich w Jędrzejowie, skoro zasadniczym tematem tej książki miało być Obrzycko? Już spieszę z wyjaśnieniami.

Napisałem na wstępie, że moim zamiarem było zainspirowanie mieszkańców rodzinnego miasteczka mojej żony Ewy do „uruchomienia” indywidualnych, wręcz subiektywnych wspomnień m.in. o tamtych czasach, w środowisku ich rodzin oraz najbliższych znajomych. Czyż bowiem daleko odbiegłem od zasadniczego wątku tej publikacji skoro wraz z Szydłowskimi w owym Jędrzejowie „na zesłaniu” było przez nieomal cały, kilkuletni okres wojny wiele rodzin z Obrzycka i Ziemi Obrzyckiej.

We wspomnieniach starszych członków rodziny mojej żony (obejmujących czas w Jędrzejowie) przez lata przewijały się m.in. takie nazwiska przedstawicieli rodziny Głuszków, Hejnowiczów, wspomnianych Bruchów, Błaszaków, Woźnickich, Strojnych, Gajewskich, Chmielewskich, Odrobnych, a także Sikorskich z Zielonejgóry, Guzendów z tej samej wioski, Kaszkowiaków oraz rodziny pani habiny Heleny Twardowskiej, dziedziczki w pałacu w pobliskich Obrzycku Kobylnikach. Wielokrotnie „na własne uszy” słyszałem w rozmowach rodzinnych i opowiadaniach te właśnie nazwiska, które doprecyzowała mi Grażyna Król Węglorz w swoim odręcznym zapisie rodzinnej historii swojej mamy oraz pozostałych Szydłowskich.

Zakładam więc, że owe przywołane rodziny wywiezione przymusowo do Jędrzejowa przeżywały te same rozterki i problemy, ich doświadczenie było takie samo lub bardzo zbliżone do tego jakie starałem się - z konieczności pobieżnie - odwzorować budując narrację w oparciu o znane mi z

opowiadania przypadki w najbliższej rodzinie mojej żony.

Mam więc nadzieję, że moje marzenia o przywołaniu jeszcze innych wspomnień, bardziej subiektywnych w poszczególnych domach a terenie Obrzycka lub z tym urokliwym miasteczkiem związanych, zostaną w jakieś mierze spełnione, wszak to właśnie byłoby kwitesencją tej mojej pisaniny, a zawartość tej książki będzie nieco bardziej interesująca dla większej liczby Obrzyczan, niż tylko jedna rodzina, ta dla mnie bardzo ważna.

Pokarało Niemca!

Wspomniana chwilę wcześniej ciocia, Wanda Szydłowska, po mężu Apelkowska (precyzyjniej to ciocia mojej żony Ewy, z racji bycia starszą siostrą jej matki Janiny) opowiadała kiedyś o swojej pracy w Jędrzejowie (a raczej pod Jędrzejowem), w domu jednego z „ważnych” Niemców. W swoich zapiskach potwierdziła to także Grażyna.

Ku mojemu zaskoczeniu nie utyskiwała, nie robiła z siebie męczennicy, a nawet przyznała, iż ów Niemiec cenił sobie jej pracę. Czy może chodziło o oznaczony dopiero dzisiaj syndrom sztokholmski? Istotą opowiadania cioci był epizod o zupełnie innej wymowie oraz charakterze niż ich zesłanie do Jędrzejowa.

Ledwie nastoletnia wówczas Wanda znalazła bardzo nisko płatną pracę w domu niemieckiego, wysoko postawionego w tamtym czasie oficera,

przywołanego wcześniej Fricka vo Balusca, który mieszkał w urokliwym pałacyku znanego w Małopolsce rodu Dembińskich, w pobliskich Szczekocinach (pałacyk ów funkcjonuje do dzisiaj jako bodaj obiekt turystyczny, a Szczekociny wielu współczesnym kojarzą się m.in. z tragiczną katastrofą kolejową).

W jego pobliżu ustawiona była w tamtym czasie okazałych rozmiarów figura Dzieciątka Jezus.

Niemca najwyraźniej zniechęcał i drażnił deklarowany przez miejscowych, polskich katolików kult Matki Boskiej oraz Jezusa Chrystusa, bardzo często (codziennie?) demonstrowany pod ową figurą, którą widywał ze swojego okna.

Polacy modlili się w sobie znanych intencjach, pośród których bardzo ważną była ta w sprawie wyzwolenia Narodu, zakończenia tej okrutnej wojny oraz szczęśliwego końca ich tułaczki.

Pracodawca młodej Wandy Szydłowskiej postanowił, w ramach posiadanych możliwości sprawczych i faszystowskich kompetencji, wydać polecenie zburzenia figury Dzieciątka Jezus w owym Szczekocinie. To, rzecz jasna zbulwersowało polskich katolików, którzy planowali nawet zemstę na Niemcu. Matka Boska w imieniu swego Syna Bożego pewnie poradziła sobie sama z tym problemem.

Z jednej strony ten okupant poniósł indywidualnie sromotną klęskę, ponieważ jego złowrogi gest nie tylko umocnił w miasteczku oraz w najbliższej okolicy jeszcze bardziej kult maryjny dla Królowej

Polski oraz jej Syna. Ale też doświadczył także osobistej tragedii.

Ciocia Wanda знаła bardzo dobrze jego malutkie jeszcze dzieci i dużo o nich wiedziała. Nawet na temat ich zdrowia i upodobań. Lubiła je bardzo bo z racji swojego wieku nie były winne temu co z „rąk” Niemców oraz Volksdeuschów spotkało ją, jej rodzinę oraz sąsiadów z Obrzycka, czy ogólnie Polaków w czasie tej i poprzednich wojen.

Kiedy więc dowiedziała się, że zmarło bodaj roczne dziecko tego Niemca tuż po zburzeniu figury, była z jednej strony przerażona i smutna, bo dziecko było przecież wg jej wiedzy zupełnie zdrowe i radosne.

Z drugiej zaś strony uznała to (podobnie jak pewnie większość Polaków w Jędrzejowie i Szczekocinach), że jest to „kara boska” dla kogoś, kto w ten sposób walczy z Bogiem. Ani przez moment nie pomyślała ciocia Wanda, że Matka Boska jest mściwa lub, że się za coś rewanżuje. Myśli wszystkich raczej podążały w kierunku uznania miłosierdzia Maryi dla zmarłego dziecka, które miałoby w przyszłości cierpieć za winy swojego ojca lub - co gorsza – stać się do niego podobne.

Nikt tego „cudu” nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć, więc przyjęto to w Jędrzejowie i okolicy jako nad wyraz czytelny „znak” boskiej obecności wśród nich.

W sercach ich ponownie obudziła się żarliwa nadzieja, że ktoś nad nimi czuwa, nie pozwoli ich jesz-

cze bardziej skrzywdzić i wreszcie, że niebawem powrócą do swoich domostw w Obrzycku.

Niemiecki pracodawca ceniał pewnie sobie bardzo pracę panny Szydłowskiej, bo kiedy zmuszony był pod naporem nacierających wojsk polskich oraz wizji przegrywanej wojny przez III-cią Rzeszę opuścić Polskę, zaproponował Wandzie by wyjechała z jego rodziną do Niemiec, jako opiekunka jego małych dzieci. Oczywiście tak się nie stało.

Długa droga do domu

Ci, którzy pozostali na czas wojny w Obrzycku (po grudniu 1939 roku, bo to w tej sytuacji data w miasteczku graniczna) zapewne byli później świadkami innych tragicznych wydarzeń wojny. Oto dopiero po wojnie odkryto, że w lesie kobylnickim, w pobliżu ich miasteczka, Niemcy dokonali masowych mordów Polaków. Znaleziono tam dwie mogiły, w których łącznie spoczywa aż 1100 pomordowanych.

A więc czy wyrzucenie z domu 3-go grudnia 1939 roku, więzienie a później tułaczka po świecie oraz zsyłka do Jędrzejowa, to najgorsza opresja jaka mogła ich tutaj w Obrzycku spotkać? – zastanawiali się pewnie po powrocie do swoich domów.

Droga powrotna była długa, a niekiedy wręcz karkołomna. W obliczu szybko zbliżającego się frontu i nacierających na tamte tereny Rosjan oraz Polaków, „obrzyccy zesłańcy” nie wiedzący co to może dla nich w praktyce oznaczać (oczywiście poza wizją upragnionej wolności) taka sytuacja u

nich wywoływała także paniczny strach przed Ruskimi, zbudowany na opowieściach i cudzych doświadczeniach) w połowie stycznia 1945 roku zaczęli uciekać m.in. do Częstochowy.

Rodzina Szydłowskich przebywała w owej Częstochowie od 15-tego stycznia do 6-tego marca 1945 roku. Tam codziennie w tym czasie udawali się do najbardziej dla Polaków uświęconego miejsca w klasztorze paulinów przed obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski na Jasnej Górze by błagać o wciąż jeszcze niepewną, upragnioną wolność i własne ocalenie.

I stało się wreszcie to na co czekali. Babcia Weronika Szydłowska z córkami wspomnianego 6-go marca 1945 roku, w ślad za wędrującymi pieszo do domu mężem Józefem i kilkunastoletnim synem Krzysztofem, wyjechała z tego miasta do Obrzycka. Wszyscy spotkali się tutaj 8 marca 1945 roku.

Po latach siostry (kiedyś) Szydłowskie spotykały się często (zwłaszcza kiedy pojawiała się w Obrzycku mieszkająca w Wieleniu ciotka Wanda) w domu cioci Kazimiery, w domu Rynek 12, by powspominać swoją młodość.

Wbrew temu bowiem, że ich najpiękniejsze lata tej młodości przypadły na czas więzienia we Wronkach, zesłania w Jędrzejowie oraz udręczenia i ludzkiego upodlenia, potrafiły odnaleźć w tym wszystkim wiele miłych chwil, godnych zapamiętania i powspominania. Nie utraciły zatem pogody ducha i radości życia.

A może to właśnie wbrew wszystkim przeciwnościom, zagrożeniom i wcześniejszym upokorze-

niom tak bardzo doceniały wartość życia, czerpiąc z niego to co najlepsze? Wolały zatem radosne oraz rzeczowe wspomnianie od niekończącego się umartwienia oraz martyrologii, wszak mówiły o swojej młodości, którą przeżyły najlepiej jak to było w tamtych warunkach możliwe.

W czasie zniewolenia oraz długiej podróży do upragnionego domu w Obrzycku cały czas towarzyszyła im nadzieja i modlitwa o ocalenie. Jeszcze po latach Kazimiera Król codziennie modliła się do dobrego Boga m.in. słowami, których nauczyła się w Jędrzejowie;

+ *Jezu Nazareński*

+ *Królu Żydowski*

+ *Zachowaj nas od nagłej i niespodziewanej śmierci*

Po czym robiła trzy „krzyżyki”, tak jak robi to kapłan czytając Ewangelię. Nic zatem dziwnego nie było w tym, że najmłodszy jej synek Stefan pytał czy mama w takich chwilach odprawia Mszę Świętą.

Po powrocie do Obrzycka Szydłowscy, podobnie pewnie jak wielu ich sąsiadów, znajomych i przyjaciół zastali puste i doszczętnie ograbione swoje domy. Pamiętali przecież doskonale, że 3-go grudnia 1939 roku, wyrzucani z tych domostw brutalnie i w pośpiechu, pozostawili cały dorobek materialny swojego wcześniejszego życia. Pomimo tego, że ich sklep był doszczętnie ograbiony i zniszczony, byli bardzo szczęśliwi z faktu powrotu do ich Obrzycka. Nie przerażała ich nawet wizja konieczności odbudowania i wręcz na nowo odtwarzania i tworzenia swojej, nowej rzeczywistości od

początku, po latach wyrzeczeń, ograniczeń udręki oraz niepewności.

Relatywnie szybko Józef Szydlowski ponownie uruchomił swój sklep przy Rynku, pod numerem 13a i znowu sprzedawał tam sąsiadom sprowadzane, ale także produkowane przez siebie własnoręcznie towary pierwszej potrzeby.

Obrzycko wracało do życia. Tym razem bogatsze o niedawne przeżycia i doświadczenia, także minionych sześciu lat wojny.

W polskim ponownie miasteczku dziadkowie długo jednak nie nacieszyli się życiem. Babcia Weronika – przypominę – zmarła w 1946 roku, a dziadek zakończył swoje bogate w wydarzenia życie cztery lata później, w 1950 roku.

A co pozostało po tych smutnych doświadczeniach w Jędrzejowie w niemieckiej Guberni Generalnej? Jak sami „zesłańcy” podkreślali, pozostały związane lub jeszcze bardziej zacieśnione tam przyjaźnie, wzajemna życzliwość oraz serdeczność na co dzień. To są wartości przecież dzisiaj tak pożądane i poszukiwane.

Tak sobie obserwowałem i słuchałem różnych opowiadań

Z każda kolejną wizytą w Obrzycku, z każdą rozmową z członkami rodziny ze strony Szydłowskich i nowymi znajomymi, co raz to bardziej intrygowała mnie historia posesji przy Rynku.

Jak wspomniałem, dziadek Józef był lokalnym kupcem w pełnym rozumieniu tego pojęcia w realiach przedwojennych. Sprzedawał bowiem w swoim sklepie nie tylko to co kupił od pośredników i innych handlowców (dzisiaj taki sposób zaopatrywania nazywa się handlem hurtowym), ale także produkował w swojej – jak to nazwałem na własny użytek – przydomowej manufakturze różne produkty oraz wytwory własnych rąk.

Inną opowieścią rodzinną (tym rzem ze swoistym dreszczykiem w tle) jest ta o „stacjonującym” na podwórku tej posesji karawanie dziadka Leona Schmidta, którym to świadczył w Obrzycku i okolicach „usługi transportowe” z domu pogrzebowego do kościoła, a dalej do miejsca wiecznego spoczynku.

Wydawałoby się, że karawan jak karawan i, że nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Ja jednak próbowałem sobie zwizualizować ten pojazd konny, jego zdobienia i przyboczne kandelabry, by poznać kulturę miejscowości. W takich artefaktach bowiem owa kultura się zawiera, mówiąc dużo o czasach minionych.

Przecież ten ozdobny „pojazd specjalistyczny” to w przeszłości nieodłączny element krajobrazu lokal-

nych nekropolii oraz obrządku przemijania kolejnych pokoleń Obrzyczan. Ot, takie moje indywidualne zainteresowania.

Takich tajemniczych historyjek, rodem ze strychów starych domów, piwnic oraz stodół i chlewików w tym miasteczku pewnie nie brakuje, tak jak nie brakuje „starej substancji mieszkaniowej i gospodarczej”. Warto je przypominać sobie, by następnie swoim wnukom opowiadać.

Polak, Niemiec czy Volksdeutsch?

W kilku domach mieszkali ludzie (teraz już mieszkańcy Obrzycka), którzy pojawili się tutaj po wojnie jako przybysze, nie zaś jako powracający z Jędrzejowa lub z innych terenów ich wojennej tułaczki rdzenni Obrzycanie. W jednym przypadku nieszczęśliwy traf zrządził, że blisko – w odległości około 150 metrów – od siebie zamieszkali ludzie, których dzieliła głęboka zadra z wojennej przeszłości, zbudowana w zupełnie innej miejscowości w Wielkopolsce. O tym warto opowiedzieć, nie używając jednak prawdziwych imion oraz adresów, bo to może oddać specyfikę procesu – w jakimś sensie - na nowo budowanej po wojnie społeczności lokalnej miasteczka oraz jej ponownej integracji. Rzecz oczywista rdzenni Obrzycanie, m.in. powracający z tułaczki w Jędrzejowie integrować się jeszcze bardziej wcale nie musieli. Ale obok nich działały się pewnie ciekawe wydarzenia i procesy.

Oto - zupełnie przypadkowo - usłyszałem opowieść, o tym jak to w nieodległym bardzo od Obrzycka miasteczku (a może to była duża wioska - tak jak przez kilkadziesiąt lat po wojnie Obrzycko - przypominająca jako żywo miasteczko?) w czasie okupacji niemieckiej rządził niepodzielnie burmistrz (a może wójt?) o imieniu Hieronim (tak go „ochrzciłem” na potrzeby tej relacji), który był z gruntu złym człowiekiem. Takim go zapamiętała prawdopodobnie większość ludzi w tamtej miejscowości.

Jedna - wówczas jeszcze nastolatka - nie miała na zimę butów. Cierpiąca na wyraźny niedostatek z powodu wojny matka widząc, że córka chodzi w „kapciach” z odpadającymi i zdartymi nie-miłosierdzie podeszwami, zasugerowała by ta udała się do miejscowego burmistrza, by ten w ramach obowiązującego w tamtym czasie prawa (tak jak dzisiaj MOPS) dał dziewczynie jakieś psujące buty, by mogła przetrwać zimowe mrozy.

Pan burmistrz popatrzył na petentkę z pogardą i oświadczył, że to „coś” co ma na swoich stopach zupełnie jeszcze jej wystarczy by w takich butach poruszać się w zimie. Dziewczyna rozplakała się i wróciła rozgoryczona do domu. Jej matka wpadła jednak na pomysł, by córka po krótkim czasie poszła raz jeszcze do owego osobnika, ale już zupełnie boso. Tym razem, chociaż wyraźnie niechętnie, władarz miasta ofiarował nastolatce jakieś niewyszukane obuwie (być może nawet zabrane wcześniej wywiezionym z miejscowości do obozu koncentracyjnego Żydom). Dziewczyna oraz jej rodzina zapamiętała tego pana burmistrza jako zdecy-

dowanie złego człowieka, po kontaktach z którym w sercach ich pozostała boląca zadra.

Niestety to nie koniec tej smutnej w swojej istocie historii. Dalszy ciąg nastąpił już w Obrzycku, kiedy obie rodziny po wojnie zamieszkały w jednej miejscowości i to (o czym wspomniałem) relatywnie blisko siebie. Dawny, „poniemiecki” pan burmistrz Hieronim tutaj na miejscu wypracował sobie w społeczności pozycję szanowanego obywatela, do którego zdecydowana pewnie większość sąsiadów w Obrzycku odnosiła się z estymą, a nawet szczególnym poważaniem.

Dla tej kobiety wciąż jednak pozostał - aż do śmierci - człowiekiem, którego sobie jednoznacznie nie ceniła, a nawet miała do niego trwały uraz. Gdzie tutaj jest tajemnica? A no najprawdopodobniej jest.

Pani Krystyna (tak ją nazwijmy dla potrzeb tego opowiadania) do chwili obecnej nie znalazła odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że jej nowy sąsiad z Obrzycka był w czasie okupacji hitlerowskiej prominentnym urzędnikiem w ich dawnym miasteczku? Do tego na tak wiele jemu okupanci pozwalali.

A ponoć był Polakiem, podobnie jak ci, których tak bardzo poniewierał jako burmistrz. Wiedziała także, że w okupacyjnej policji (tzw. „granatowych”) byli młodzi mężczyźni, traktujący nad wyraz często z wyższością podległych władzy Polaków, zazwyczaj sąsiadów i przyjaciół swoich bliskich. Jednak tak wysokich oraz ważnych funkcji w „Kraju Warty” na pewno nie sprawowali polscy patrioci, a raczej byli

to Volsdeutsche lub tylko służalczy osobnicy, którzy przeszli na stronę wroga dla materialnych korzyści i apanaży.

Na nic zdały się enigmatyczne tłumaczenia i samo-uspakajanie się pani Krystyny, że przecież m.in. w gettcie w Jędrzejowie wysiedleni tam w grudniu 1939 roku Obrzyccanie często obserwowali żydowskich kapo, którzy także okrutnie poganiali innych Żydów na miejsca ich kaźni lub w drodze do obozów koncentracyjnych. Postawy wówczas pana Hieronima ni jak nie potrafiła usprawiedliwić.

Nie pomogły również pewne, historyczne analogie rodem z Obrzycka, kiedy to w pozostającym pod pruskim zaborem miasteczku, w 1806 roku burmistrz Obrzycka, Jan Differt wydał w ręce niemieckich zaborców wysłannika - znanego doskonale z historii - generała Henryka Dąbrowskiego. Z rozkazu marszałka francuskich wojsk Davouta został on krótko później za ten haniebny postępek po prostu rozstrzelany, w czasie obecności na tych terenach wojsk francuskich.

Pomimo wielu analogii, w przypadku pana Hieronima chodziło prawdopodobnie o coś zupełnie innego. Taką przynajmniej Pani Krystyna miała nadzieję, że nie szło o kolaborację z niemieckim okupantem, chociaż nawet narodowość się zgadzała.

Najważniejszym jednak było dla niej pytanie (a może nawet kilka pytań); Dlaczego ten pan z rodziną przeniósł się po wojnie do Obrzycka, skoro wcześniej był burmistrzem w ich dawnym mieście i pewnie mógł się tam bez wątpienia „wygodnie się

urządzić”, a jednak wyjechał? Chciał czy może bardziej musiał uciekać?

Z kolei, dlaczego tutaj w Obrzycku osiągnął tak szybko i aż taką pozycję w tym małym środowisku? Czy może dlatego, że w ogromnej większości (oczywiście poza panią Krystyną!) pewnie nikt nie znał jego wcześniejszych dokonań?

Czy noszony przez niego ubiór „tak na bogato” w powojennych realiach, kultura w obyciu gościa oraz „bicie piany” wokół siebie to w tym przypadku jest wystarczającym wytłumaczeniem?

Tego pewnie tak łatwo i tak „zero-jedynkowo” nie da się wyjaśnić, skoro ten pan już nie żyje, a i członków jego rodziny mieszkającej w Obrzycku też jakoś brakuje. Jedno jest pewne, nie został rozstrzelany, bo wcześniej zmarł śmiercią naturalną szanowanego obywatela miasteczka.

Celowo nie ujawniam nazwisk i prawdziwych imion „bohaterów” tej prawdziwej historii. Nie o pojedynczym człowieku bowiem chciałem napisać, a o problemie skrywania swojego życiorysu, o meandrach procesu integracji lokalnej społeczności Obrzycka oraz ogólnie, o sąsiedzkim współistnieniu w miasteczku po powrocie owej społeczności do miasteczka po wojnie. Jeżeli jednak ktokolwiek skojarzy osoby dramatu i jakieś przywołane fakty, to tym gorzej ... dla faktów.

W podsumowaniu

Rozpocząłem ten tekst o Obrzycku od zaprezentowania – prostych raczej i jak sądzę zrozumiałych - powodów swojego zainteresowania miasteczkiem oraz mieszkającymi tutaj ludźmi. Szukając jednak materiałów do tej książki uświadomiłem sobie, że już bardzo krótko po swoim ślubie z Ewą, Obrzycko stało się mi jakoś bliskie, a niektórych ludzi, którzy „stanęli mi na drodze” zacząłem – nie wiedzieć kiedy – traktować jak dobrych znajomych.

Mówię m.in. o czasie, kiedy pracując w Ustce, w Centrum Szkolenia MW jako żołnierz zawodowy, spotykałem niekiedy młodych marynarzy służby zasadniczej rodem z Obrzycka. Chłopaków przestraszonych zazwyczaj wizją trzech lat „na morzu”, co było realną perspektywą wynikającą z okoliczności. W tej niewielkiej jednak grupce był na przykład Wojtek Ruta, młodszy brat Jadwigi, koleżanki moje Ewy ze szkoły. Był też Janek Żelazko, syn Pani Stefanii ze sklepu mięsnego czy kuzyn, z racji bycia wnukiem brata dziadka (Leona Schmidta) mojej świeżo poślubionej żony (a więc pośrednio także i mój kuzyn), Witek Sadowczyk. Ale też kilku innych.

W tym samym czasie marynarzem w Ustce (a później nawet razem służyliśmy [w różnej jednak roli] na lotnisku Marynarki Wojennej w Darłowie) był mój młodszy ze szwagrów Jurek.

Poczułem jakąś wewnętrzną i nieodpartą potrzebę „roztoczenia nad nimi” delikatnej opieki na terenie koszar. I to tylko dlatego, że byli z Obrzycka.

Sam się temu wówczas dziwiłem, no ale żona ...

Jeszcze bardziej utkwiała mi w pamięci walka mieszkańców miasteczka o zatrzymanie – zaawansowanej już w pewnym momencie – budowy elektrowni jądrowej w pobliskim Klempiczu, leżącym raptem około sześciu kilometrów od – na swój sposób już mojego - Obrzycka.

To jest jednak dłuższa, ale warta przypomnienia historia. A więc to było tak;

Kiedy po raz kolejny byłem w Obrzycku w celu przekonania mojej przyszłej teściowej by zechciała powierzyć mojej opiece i staraniom swoją najstarszą (choć jednak nadal wówczas bardzo młodą) córkę Ewę, od samego przyjazdu rankiem byłem nastawiony „na walkę”. Przecież mówimy o przyszłej teściowej, przy czym kategoria „teściowa” była słowem klucz.

Okazało się jednak, że właśnie tej wiosennej nocy 1979 roku, poprzedzającej mój przyjazd, w okolicach Słopanowa i Kobylnik, w ramach wierceń rewizyjnych geolodzy dowiercili się do podziemnych pokładów siarkowodoru. Ten gaz przepojony fetorem [zapach zgniłych jajek – przyp.] wydostał się do atmosfery i dokonał w ludzkiej psychice mieszkańców okolicy naprawdę niezłego zamieszania.

Pani Janina, w „obliczu tyleż spodziewanej, a być może także „nieuchronnej zagłady” wyraziła zgodę na nasz ślub. Jak później twierdziła – nie na żarty brała pod uwagę różne czarne scenariusze, więc wołała bym jej źle nie wspominał.

Zagłady – co widać na załączonym obrazku - nie było, a ja mogłem poczuć się w tamtym momencie wygranym.

Nie wiem na ile słusznie, ale owe odwiarty przypisywałem badaniu terenu w okolicach planowanej elektrowni jądrowej na wzór sowiecki, takiej jak w Czernobylu.

Rzecz stała się jeszcze bardziej realną, kiedy już w kilka lat po ślubie kolejny raz odwiedziłem to miasteczko. Moja, już wówczas „nowa mama” ujawniła swoje (tym razem w pełni uzasadnione) przerażenie oraz wątpliwości w kwestii zaawansowania prac w Klempiczu. Wykupiono tam bowiem już pierwsze domy od właścicieli, rozpoczęto wycinkę w tamtym miejscu Puszczy Nadwarciańskiej oraz budowę – równego i szerokiego jak nigdy wcześniej w tej okolicy – odcinka drogi z Klempicza do Piotrowa.

Rzeczywiście, zagrożenie wydawało się bardzo realne i już wręcz „namacalne”. Zapropnowałem więc mojej teściowej, by ta listownie zwróciła się do konkretnego programu telewizyjnego z prośbą o skuteczną interwencję.

Na list z Obrzycka, na adres domu rodzinnego mojej żony przyszła relatywnie szybko odpowiedź z zaproszeniem grupy „zaniepokojonych Obrzyczan” do programu Pani Elżbiety Jaworowicz (tak, tak już wówczas ta pani prowadziła ten program), bo sprawa pewnie nadawała się „Dla reportera”.

Delegacja - w składzie; moja teściowa, wspomniany wcześniej nauczyciel fizyki w szkole w Obrzycku i kolega ze studiów mojej żony, Marek

Rybski oraz wspierający ich profesor z Poznania – udała się do TVP1, na spotkanie z panią Redaktor. Po krótkiej (jak po powrocie opowiadali) rozmowie z Panią Elżbietą, na tyle ją wystraszyli, że ta skierowała ich na kolejną rozmowę do kierującego redakcją informacyjną Redaktora Górskiego.

Ten z kolei wyjaśnił przyjezdnym zaniepokojonym, zbuntowanym, ... a co gorsza, merytorycznie dobrze przygotowanym do dyskusji na temat, że żadnego nagrania „na wizji” nie będzie, bo sprawa jest za bardzo polityczna.

Takie diktum żadną miarą nie uspokoiło mieszkańców Obrzycka, a więc walka przeszła na „wyższy poziom”.

Po pewnym czasie miałem przyjemność (dopiero jednak w roku 1988, a więc już po wybuchu reaktora na Ukrainie) gościć ekipę zbuntowanych z Obrzycka w naszym mieszkaniu w Darłowie, gdzie także była nad przymorskim, zalewowym jeziorem Kopań planowana trzecia lokalizacja elektrowni jądrowej (po rozgrzebanym już poważnie Żarnowcu oraz wielkopolskim Klempiczu – przyp.).

W największej sali widowiskowej tutejszego, Darłowskiego Ośrodka Kultury, gdzie przez wiele lat odbywały się także zabawy karnawałowe i tzw. „non-stopy” taneczne przy muzyce zespołów „na żywo” (bo młodzież może nie wiedzieć o czym piszę), odbyło się spotkanie z dyrektorem od energetyki Gustawem Sygą oraz wspierającymi energetykę atomową specjalistami.

Bardzo aktywnie w tej rozmowie na argumenty uczestniczyli Obrzyckanie, a w tej liczbie mój teść oraz Marek Rybski.

Pewnie byli skuteczni (a może także wiele innych względów temu posłużyło?), bo po pewnym czasie zawieszono „na kołku” wszelkie poważne rozmowy o energetyce atomowej w Polsce.

Aż do dzisiaj.

Oczywiście po trosze żartuję, bo argumentów „na nie” było nieco więcej. To jednak żadną miarą nie umniejsza zasług przedstawicieli Obrzycka w procesie powstrzymania wówczas realnego zagrożenia sowiecką technologią i „dbałości w dłuższej perspektywie o zdrowie oraz bezpieczeństwo Polaków”.

W taki oto sposób pozwalam sobie na wykazanie moich związków z tym wielkopolskim miasteczkiem oraz odwagi, by sięgnąć do tego tematu w formie publikacji zwartej.

Czynię to z nadzieją, że uda mi się zainspirować ewentualnych czytelników do wspominania swoich historii rodzinnych oraz przywołania dykteryjek znanych niekiedy tylko w bardzo wąskich gronach.

Na ile jednak moje nadzieje okażą się realne?